

GAZETA POLSKA

Pismo tygodniowe bezpartyjne poświęcone sprawom polskim w Brazylii.

Adres dla listów zwyczajnych:

»Gazeta Polska«, Curityba-Paraná, Caixa postal »B«.

Adres dla przekazów pocztowych (vales postaes), listów poleconych (registrados) i pieniężnych:

»Gazeta Polska«, Rua Dr Muricy 143, Curityba-Paraná.

Redakcja mieści się przy ulicy Dr. Muricy Nr. 143

Redaktor i wydawca: F. DYBOWICZ.

Drobne ogłoszenia po 200 rs. za wiersz lub jego miejsce. Ogłoszenia większe według umowy.

Numer pojedynczy kosztuje 200 rs.

Przedpłata wynosi:

Rocznie	8 mlr.
Półrocznie	4 mlr.
Dla Argentyny	7 pesów pap.
„ Ameryki Półn. i Kanady	3 dolary
„ Królestwa Polsk. i Rosyi	7 rubli
„ Austrii	16 koron
„ Państwa niemieckiego	14 marek

Prenumeratę zamiejscową przyjmują PP.:

Bolesław Kłowski	Ponta Grossa
Michał Nowacki	Nova Galicia
Jan Puchalski	Sao Matheus
Jan Szklaniarz	Prudentopolis
Adolf Schirl	„



W Argentynie: The Standard 152 Calle Maipu 152 Buenos Aires.



W Ameryce Północnej: Ameryka-Echo 1140 Nebraska Ave. Toledo — Ohio.



W Austrii. (Europa): G. Gebethner Co. 23 Rynek Główny, Kraków, Galicya.

Z imigracyi.

Coraz szerszym korytem płynie prąd imigracyjny do Brazylii, a zwłaszcza do Parany i niemal każdy statek europejski zawijający do portów naszego Stanu, wysadza na ląd dziesiątki i setki nowych przybyszów, których nadzieja lepszego bytu skłoniła do porzucenia starego kraju. Imigracja obecna do Parany, tem więcej zasługuje na naszą uwagę, że rekrutuje się wyłącznie z rodaków naszych z zaboru rosyjskiego, z małą tylko domieszką Polaków i Rusinów galicyjskich. Już na pierwszy rzut oka widoczna jest różnica między imigrantami z tych dwu zaborów. Zdawałoby się, że tak zwani galicyjanie powinni pod każdym względem górować nad swymi braćmi z Królestwa, bo przecież Galicya najwcześniej oderwana została od Polski, a zatem znacznie wcześniej zaczęła korzystać z porządku i oświaty pod opieką ojcowskiego rządu, który wielki ten szmat ziemi zmuszony był zabrać, aby go wyrwać z anarchii, nędzy i ucisku pod jakim jęczał za panowania polskiego; tak przynajmniej pozorują ustąpi historycy niemieccy i rosyjscy grabież, jakiej się ich rządy na Północie dopuściły. Tymczasem fakta kłam zadają płatnym obrońcom zaborców, a każdy, kto ma sposobność zbliżenia się do napływających obecnie imigrantów, może się o tem naocznie przekonać. Przypatrzmy się najpierw wychodźcom galicyjskim. Już fizyczny ich wygląd przedstawia się bardzo ujemnie; mężczyźni, słabo

zbudowani, wzrostu przeciętnie mniej niż średniego, o ruchach ciężkich i jakby zmęczonych, o wyrazie twarzy bojaźliwym i pokornym robią wrażenie ludzi, których udziałem od wczesnego dzieciństwa była praca nad siłą, liche odżywianie się, niewolnicza zależność i brak wszelkiego życia duchowego. Wieki kobiet, zwłaszcza zamężnych, z pozoru trudno określić, bo starzeją się przed 40-tym rokiem życia. Brak pojęcia o czystości i niewolnicza u niżoność uzupełniają smutny obraz wychodźców galicyjskich. Do nich też stosować można przysłowie, że jak cię widzą, tak cię piszą, bo od chwili opuszczenia wsi rodzinnej, aż do przybycia na miejsce przeznaczenia, są oni celem wysiłku i drwin nowego swego otoczenia. Zupełnie inny jest typ imigrantów z Królestwa. Jest to lud dorodny, dobrze odżywiony, odziany czysto i dostatnie, o spojrzeniu swobodnym szanujący swoją ludzką godność, a co dziwniejsze jest wśród nich bez porównania mniej analfabetów niż wśród galicyjan. Gdzie szukać przyczyny takiego stanu rzeczy? Czy może rząd rosyjski w Królestwie dba więcej o oświatę ludu polskiego i o podniesienie go kulturalnie? Wszyscy wiedzą, że dzieje się wręcz przeciwnie, że rząd rosyjski z całą zacieklą siłą przesładuje tam oświatę i stara się wyteplić wszystko, co się do niej przyczynić może, wyższość zaś swojej kultury zawiązują królewscy, a i dla nas Polaków ma ona dodatnie znaczenie bo wzmocni naszą narodowość nie tylko liczebnie, ale co ważniejsza, wpłynie ona korzystnie na dalszy nasz rozwój społeczny i ekonomiczny. Pochodzi też wielu z tych nowych imigrantów z okolic przemysłowych, jest więc nadzieja, że obok rolnictwa może z czasem po koloniach powstać przemysł domowy, który szczególnie tu w Paranie ma wszelkie dane do rozwoju.

Załowac tylko należy, że zakładanie nowych kolonii i osadzenie na nich imigrantów przez urząd kolonizacyjny prowadzone jest w sposób tak niedołężny, jak gdyby głównie chodziło o zdyskredytowanie tutejszych stosunków wobec zagranicy. Już wybór miejsca na nowe kolonie świadczy, że ludziom, którym urząd kolonizacyjny funkcyje te powierza brak potrzebnego doświadczenia, zakładają bowiem kolonie w głębi puszczy niedostępnych, często na ziemiach nieurodzajnych, nadmiernie gorzstych, a co najważniejsze w miejscach zbyt odległych od rynków zbytu na produkty rolne. Chodzi im jedynie o osadzenie jak największej ilości rodzin, a jak sobie osadnicy na przyszłość radzić będą, to zupełnie nie wchodzi w

rachubę. Na koloniach takich pozostają koloniści tak długo, dopóki rząd daje im możność zarobkowania przy budowie dróg, domów i innych robotach związanych z kolonizacją, a następnie, dopóki nie zniszczy się odzież przywieziona z kraju, bo ostatecznie pożywienia dostarczy przy pracy ziemia, chociażby niezbyt urodzajna, ale na okrycie ciała, braknie gotówki. W następstwie takich stosunków, koloniści opuszczają kolonię, jedni, szukając zadowolonego zarobku, drudzy aby więcej na kolonię nie wrócić. Ztąd istnieje tyle kolonii starszych i nowszych, częściowe, lub zupełnie opuszczonych. Dzieje się to ze szkodą kolonistów schodzących do rzędu wyrobników miejscowych i rządu wydającego na cele kolonizacyjne znaczne sumy bez pożytku dla kraju. Urząd kolonizacyjny tłómaczy się tem, że rząd z zasady kolonizuje tylko ziemię nie mającą dotychczas prywatnych właścicieli (terras devolutas) i jest przeciwny kupowaniu na ten cel obszarów prywatnych, ale wiadomo, że komisye kolonizacyjne często daleko więcej wydają na budowę dróg, transport imigrantów i ich rzeczy, wogóle na udostępnienie przeznaczonych do kolonizowania miejscowości, niżby najdroższy obszar prywatny, w korzystnym dla kolonistów położeniu kosztował. Przynosi to jedynie korzyść urzędnikom komisyi, bo roboty kolonizacyjne ciągną się w takich warunkach w nieskończoność, a tak długo trwają też ich posady. System ten ma jeszcze inne ujemne następstwa, jakie przy obecnej imigracji szczególnie jaskrawo występują.

Cruz Machado, jedyna kolonia, jaką urząd kolonizacyjny od roku się zajmuje, obliczona na pomieszczenie przeszło 2 tysięcy rodzin dotychczas nie jest na tyle gotowa, aby mogła pomieścić bodaj piątą część tej liczby. Ogromną sumę wydano i wiele czasu zużyto na połączenie drogowe tej kolonii z najbliższą stacją kolejową o jakie 50 kilometrów odległą. Tymczasem baraki imigranckie począwszy od Kurytyby zapchane są imigrantami, których liczba codziennie wzrasta, a którzy całymi miesiącami napróżno wyciekają obiecanej im ziemi. Jedni z nich najmują się do robot, chociaż i o te wobec olbrzymiego napływu bardzo jest trudno, drudzy spędzają czas w przymusowej beczynności, demoralizującej ich i zabijającej w nich resztki energii, zliczając tym, którzy ich do opuszczenia kraju nakłonili, a są i tacy, którzy za ostatek funduszy, spieniężywszy, co tylko przedstawia jakąkolwiek wartość, kupują sobie przejazd do Europy i powróciwszy do kraju, przedstawiają tam brazylijskie stosunki w jak najczarniejszych barwach. Rzeczywiście, kto był zmuszony dłuższy czas spędzić w baraku imigranckim, temu nie można się dziwić, że nabierze jak najgorszego wyobrażenia o kraju, którego dobrych stron pozoł nie miał jeszcze sposobności. Śmiertelność dzieci w barakach jest zastraszająca, a za nadejściem

pory gorącej i u dorosłych nie obejdzie się bez epidemii, powietrze bowiem bywa tam tak zanieczyszczone, że daleko poza ich obrębem czuć zabijające wyziewy. Do tego pożywienie jednostajne, wydzielane w skąpych racyach i zupełnie różne od tego, do jakiego imigranci w kraju byli przyzwyczajeni, byłoby może żołądkiem na przeciąg kilku dni, ale nie całymi miesiącami. Opowiadali nam imigranci, którzy nie mogli dłużej wytrzymać w barakach na Cruz Machado, jakoby tam po 3 do 4 osób dziennie umierało i to bez opieki lekarskiej, bo lekarz przeznaczony dla kolonii mieszka sobie w Marechal Mallet, a tylko raz lub dwa razy miesięcznie odwiedza kolonię; zastępuje go jakiś młody aptekarz, leczący wszystkie, choćby najcięższe choroby olejkami rycynowym. Wielu nawet z tych imigrantów, którzy już otrzymali swoje działki straciło ochotę do pracy i myśli o opuszczeniu kolonii, ziemia bowiem ma tam być miejscami tak licha, że szkoda trudu do oczyszczenia jej z lasu dziewiczego. Jak zwykle przy kolonizacji, tak i obecnie nie obchodzi się bez nadużyć urzędników mających tembardziej zapewnioną bezkarność, że imigranci z Królestwa nie mają konsulatu, więc niema komu za nimi się ująć, my zaś nie posiadamy żadnej takiej organizacji, któraby im swym wpływem ulgę jakąś wyjednać mogła. Słychać że minister rolnictwa, któremu podlega urząd kolonizacyjny nosi się z zamiarem usunięcia całego personelu urzędniczego i zastąpienia go ludźmi energiczniejszymi i zdolniejszymi, aby tak znaczne sumy, jakie rząd na cele kolonizacyjne wydaje, nie były z powodu niezaradności urzędników marnowane bez korzyści dla kraju, a ze szkodą dla imigrantów, których sprowadzono nie mając dla nich ani ziemi pomierzonej, ani pomieszczenia. Nie może też dźiać się lepiej, gdzie brak wszelkiego nadzoru i gdzie kontrola odbywa się przy pomocy fotografii. Nie jest to żart, ale najrzeczywistsza prawda, sami bowiem patrzyliśmy niejednokrotnie na takie relacje fotograficzne zaopatrzone w odpowiednie dopiski wysyłane do Rio de Janeiro. Jak wiadomo, na fotografii, najluchsza szopa przedstawia się bardzo efektywnie, a mały ogródek mniej więcej starannie uprawny można tak zdjąć, że zrobi wrażenie olbrzymiej plantacji, my zaś kolonistów spędzonych przed aparatem fotograficznym, już dla samej komedyi, jaką z nimi wyprawiają, są wesołe, a kto jest wesoły, ten i zadowolony być musi. Specjalni i przez komisye płatni fotografowie robią te zdjęcia, a jedna z nowych kolonii miała nawet własnego stałego fotografa pracującego za pensyę miesięczną. Z takich więc relacji fotograficznych wyciąga urząd kolonizacyjny w Rio de Janeiro swe wnioski i na podstawie ich wydaje potrzebne zarządzenia. Zdarza się jednak, że rząd wysyła specjalną komisją z Rio de Janeiro dla objazdu nowo zakładają-

CONAN DOYLE.

CZARNY DOKTÓR.

Bishop's Crossing jest to mała wioska, leżąca o jakie 10 mil angielskich na południowy wschód od Liverpoolu. Tam to osiedlił się około roku 1870 lekarz Alojzy Lana. Nic nie wiadano ani o jego pochodzeniu, ani o powodach, które go zagnały w ten cichy, wiejski zakątek w hrabstwie Lancaster. Co do dwóch okoliczności tylko istniała wszelka pewność, mianowicie: że studia medyczne z odznaczeniem ukończył w Glasgowie, a następnie że niewątpliwie musiał pochodzić z jakiejś podzwrotnikowej rasy, cery bowiem był tak ciemnej, że nawet przymieszki krwi indyjskiej przy puszczać było można. Rysy twarzy jednakże miały europejskie, a godność w postawie i pewna szlachetna dworskość obejsia przemawiały za tem, że miał być z pochodzenia Hiszpanem. Oliwkowa cera, kruczony włos i błyszczące oczy ocenione gęstymi brwiami, szczególny stanowiący kontrast z lniąnym lub kasztanowatym kolorem włosów wieśniaków angielskich; to też nowoprzybyłego przeważnie nie bawem „czarnym doktorem“ z Bishop's Crossing. Zrazu było to przezwisko żartobliwe, z biegiem lat jednak z wielkim szacunkiem powtarzano nazwanie to w całej okolicy. Okazało się bowiem, że nowy przybysz

zdołnym był chirurgiem i równocześnie wytrawnym internistą. To, w połączeniu z osobistymi zaletami i miłym obejściem, dało mu wkrótce zupełną przewagę nad osiedlonym w tej miejscowości drugim lekarzem. Szczęśliwie przeprowadzona operacya i kuracya jednego z członków okolicznej arystokracji otworzyła mu wstęp do wyższych towarzyskich sfer wiejskich, których wkrótce, dzięki miłej swej wymowie i wytworności towarzyskich manier, stał się ulubieńcem. Brak przedków i krewnych była niekiedy raczej pomocą, aniżeli przeszkodą w powodzeniu towarzyskiem, a dystygnowana osobistość przystojnego doktora polecała się sama przez się.

Pacyenci jego jedną jedyną wadę w nim odkrywali i jedno tylko mieli mu do zarzucenia. Mniemano o nim mianowicie, że z zasady ślubował starokawalerstwo. Dziwiło to wszystkich, ponieważ wiadano, że zamieszkiwał dom obszerny i że przy ogromnie licznej klienteli musiał mieć znaczne dochody i oszczędności. Z początku swaci miejscowi bawili się w żojarzenie imienia jego z imionami różnych panien na wydaniu; gdy jednak lata mijały, a doktor Lana pozostawał beżennym, uwierzono, że dla jakiegoś tam niewiadomego powodu kawalerem do końca życia już zostanie. Niektórzy nawet posuwali się aż do twierdzenia, że już jest żona ty i że właśnie uciekając przed niewłaściwym a nieszczęśliwym małżeństwem, zagrzebał się w Bishop's Crossing. I właśnie wtedy, gdy

zropaczerni swaci zaczęli dawać już za wygraną, rozszedła się wieść o zaręczynach jego z Miss Franciszką Morton z Leigh Hall.

Miss Morton dobrze była znaną w całej okolicy, ponieważ do ojca jej, James Haldane Morton'a należały dobra Biskops Crossing. Oboje jej rodzice nie żyli już, ona zaś mieszkała przy jednym bracie, Arturze Morton, osoba wysoka i okazała, znaną była z żywego, łatwo unoszącego się usposobienia i z prawości charakteru. Poznała doktora Lana na jakimś wielkim pikniku i wkrótce zawiązała między tym dwojgiem życzliwość, która się niebawem w miłość przedzierzgnęła. Związało ich gorące, wzajemne uczucie. Istniała tu wprawdzie pewna różnica wieku, gdyż doktor liczył lat trzydzieści siedm, a panna dwadzieścia cztery, ale skądinąd, nic związkowi temu zarzucić nie było można. Zaręczyny nastąpiły w lutym, w sierpniu miał się odbyć ślub.

Dnia 3 czerwca Dr. Lana otrzymał list z zagranicy. W małej wiosce pocztmistrz łatwo się staje „plot-mistrzem“ a Mr. Brankley z Bishop's Crossing chlubił się posiadaniem nie jednej tajemnicy sąsiadów. Odnośnie do tego listu zauważył tylko, że był w dziwnej kopecie, że adres pisany był charakterem męskim, że nosił stempel Buenos Ayres, a markę Republiki Argentyńskiej. Był to pierwszy jak twierdził, list, który dr. Lana otrzymywał z zagranicy; z tego powodu przyzwał mu się tak uważnie, zanim go miejscowemu listono-

szowi oddał. List został wręczony adresatowi tegoż dnia wieczorem.

Nazajulz rano tj. 4 czerwca, dr. Lana odwiedził Miss Morton i po długiej z nią rozmowie, zauważono, że odejdział wielce poruszony. Miss Morton przez cały dzień nie wychodziła z pokoju, a służąca kilka razy widziała ją płaczącą. W biegu tygodnia przestała już dla wszystkich być tajemnicą, że zaręczyny zerwane, że dr. Lana w stosunku do Miss Morton brzydko postąpił i że brat jej, Artur Morton odgrażał się, że oćwicy go szpicrutą. W jaki sposób i o ile dr. Lana „brzydko“ postąpił, nie wiedział nikt; jedni przypuszczali to, drudzy znowu co innego; w każdym razie zauważono i poczytano to za dowód złego sumienia, że odtąd doktor wolał raczej milę drogi naddać, niż przejść pod oknami Leigh Hall i że przestał chodzić na ranne niedzielne nabożeństwo, gdyż w kościele mógłby spotkać się z panną. Zauważono też ogłoszenie w lekarskiej gazecie Lancet, mówiące o chęci odstąpienia miejsca z wyrobioną klientelą. W ogłoszeniu nie podano wprawdzie żadnego imienia, przypuszczano jednak, że odnosi się to do Bishop's Crossing, że to węc dr. Lana myśli o porzuceniu pola wdzięcznej swojej pracy.

Tak stały sprawy, gdy dnia 21 czerwca w poniedziałek wieczór zaszło wydarzenie, które mały wiejski skandal zamieniło w tragedję i zwróciło na nią oczy całego kraju.

W domu, oprócz doktora, mieszkała tylko

cych się kolonii. Mielimy sposobność widzieć jedną z takich komisji i czytać później w dziennikach bardzo szczegółowe jej sprawozdanie, z osobistych wrażeń i naocznych spostrzeżeń z kolonii na której... wcale nie była, bo w połowie drogi osoby interesowane wyprawy dla niej tak wspaniale przyjęcie, że uczestnikom prostru sił brakło do dalszej podróży, a nawet towarzyszącego komisji na koszt rządowy specjalistę od zdjęć kinematograficznych nie posłano na miejsce przeznaczenia dla zdjęcia widoków z kolonii i jej mieszkańców; słusznie zresztą osądziła komisja, że kto takie przyjęcie urządzić potrafił, ten tem łatwiej potrafi administrować nową kolonią, a byłoby to brakiem delikatności kontraktować tak zdolną osobę. Niestykanie drżeli są urzędnicy komisji kolonizacyjnych na wszelką krytykę ich działalności, a jeżeli by wyszła od kogoś z ich własnego grona wtenczas śmiałość bezwzględnie traci posadę i robi się wszystko możliwe, aby mu pobyt na kolonii a nawet w pobliżu niej uniemożliwić. Mamy świeżo taki przykład z kolonii Iwahy, gdzie tłumacz komisji, nie mogąc dłużej spokojnie patrzeć na nadużycia urzędników, ujął się za kolonistami, za co utracił posadę, a gdy i to nie wstrzymało go od obrony pokrzywdzonych, zwabiono go podstępnie do kancelaryi, gdzie brutalnie napadnięty, w obronie własnego życia zmuszony był dobyć broni palnej i pomimo, że nikogo nie zranił, wtrącony został do więzienia w którym do tychczas czekuje wyniku procesu wytoczonego mu niby za napad na kancelaryę i nieuszanowanie osoby pana dyrektora.

Wogóle wszelkie posady przy komisjach kolonizacyjnych są synekurą, a od urzędnika nie wymaga się żadnych zdolności, ni doświadczenia, tylko ślepego poddania i łaszenia się dyrektorowi, będącego na kolonii rodzajem kacyka z władzą nieograniczoną. Z jakich ludzi składa się nieraz taka komisja, niech posłużą za przykład stosunki na kolonii niemiecko-holenderskiej Iraty, gdzie ludność przez członków komisji do tego stopnia została zdemoralizowana, że całą kolonię można było nazwać, jednym wielkim domem publicznym. Fakt to powszechnie znany, a w razie potrzeby możemy go jak i wszystkie inne, przez nas podane poprze niezbitymi dowodami, a nawet jeszcze wiele ciekawszych rzeczy tak z tej, jak i z innych kolonii do publicznej wiadomości podać, posiadamy bowiem do tego aż nadto materiału. Czy na tej kolonii obecnie z imigrantami polskimi i rusińskimi osadzonymi na miejsce Niemców i Holendrów dzieje się to samo, nie mieliśmy jeszcze sposobności sprawdzić.

Jeżeli zamierzona przez ministra reorganizacja całego urzędu kolonizacyjnego rzeczywiście przyjdzie do skutku i działalność komisji kolonizacyjnych poddana zostanie ścisłej kontroli, wtenczas rząd zaoszczędzi wiele pieniędzy, dola imigrantom stanie się o wiele znośniejszą, a co najważniejsze, kraj zyska tysiące pracowitych rąk tak potrzebnych do wydobycia bogactw z niezmiernych obszarów dotąd głuchą pokrytych puszczą i odłogiem leżących stepów.

Katolicy włoscy wobec wojny.

(Z „Gońca” warszawskiego.)

„Vaterland” wiedeński zamieszcza szereg informacji z Rzymu o stanowisku katolików włoskich wobec toczącej się obecnie wojny z Turcją. Informacje te pochodzą „ze strony szczegółowej”, a więc zapewne ze sfer kierowniczych organizacji katolickich włoskich i są pod pewnym względem bardzo ciekawe.

Katolicy włoscy — zaznacza autor — zachowywali się dotychczas obojętnie i bez zaufania względem państwa (własnego), które pozabawiło Ojca św. władzy świeckiej i które muszą uważać za swego przeciwnika. Warto więc stwierdzić, jak zachowują się w sprawie wojny włosko-tureckiej.

„Gdyby sprawę obserwować pod bezpośrednim kątem widzenia, to katolikowi włoskiemu pozostawałoby tylko jedno: zmuszenie do milczenia zapędów nacjonalistycznych, a to z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że polityka włoska w kwestyi trypolitańskiej równa się oczywiście przekroczeniu wszelkich zasad sprawiedliwości. Można na Turcję zwałac odpowiedzialność za złe gospodarowanie w Trypolisie, lecz nie można obciążać jej winą za małe i wielkie przykrości, jakie spadają na mieszkańców tam Włochów i na europejskie ekspedycje naukowe, a to z tej przyczyny, że Turcja broniła się w ten sposób, jak umiała, przeciw mocarstwu, które oddawna nie tało się z apetytem na tę turecką prowincję. Gdyby Włochy otwarcie zrzękiły się wszelkich zachcianek zdobywczych, to udręczenia te, inscenizowane przez władze tureckie, rychłoby się skończyły.

„Drugim powodem, dla którego katolicy włoscy z niewielką sympatią odnoszą się do przedsięwzięcia trypolitańskiego, jest to, iż z pewnością nie mogą się radować z przyrostu siły, znaczenia i wpływu międzynarodowego Włoch (swojej ojczyzny!) które chętnie się z funkcji dozorczy więziennego przy Papięzu, a to tembardziej, że postępowanie dyplomacyi włoskiej w kwestyi Trypolisu jest co do formy zupełnie podobne do zachowania się jej przy zajęciu Rzymu w roku 1870. Jeżeli więc katolicy włoscy chcą uchodzić za wiernie oddanych synów Papięza, nie mogą właściwie odnosić się z przychylnością do przedsięwzięcia nie wspartego na słusznej podstawie, a w dodatku obliczonego na wzmożenie nieprzyjaźni papieża i religii (!)”

Przytoczony wyżej ustęp rzuca charakterystyczne światło na to, do jakich niezwykłych konkluzji dochodzi się, jeżeli wyjść z zasady „naprzód wyznanie, potem narodowość”. Zasadę tę („Przedewszystkiem jesteśmy katolikami, potem dopiero Polakami”) proklamował niedawno biskup Pelczar na kongresie maryjańskim w Przemyslu, gromiąc jednego z mówców, który ośmielił się twierdzić, że polskość i katolicyzm są w sercu polskiem tylko nierozdzielne i równoważne — i nikt nie zaproteściwał przeciwko temu powiedzeniu. Na przykładzie włoskim widzimy, że rozwinięcie tej zasady doprowadzić może do smutku z powodu przyrostu siły, znaczenia i wpływu włoskiego, narodowego państwa.

Zaznaczyć należy, że wyżej wypowiedziane zapatrywania nie są poglądami ogółu katolików włoskich (bo przecież wszyscy włoscy, ci, co stoją po stronie rządu także są katolikami) ani nawet tych wszystkich katolików, którzy boczają się — zresztą nieszkodliwie — na rząd własny. Wiadomo, że w manifestach patriotycznych włoskich po wybuchu wojny uczestniczyli nawet księża — i że zwolennikami upadku własnej ojczyzny może być tylko mała garstka monsinjorów i kierowników organizacji klerykałnych, za które mi zresztą nie pójdą organizacje tych członków.

Widzi to zresztą dobrze sam autor artykułu, który pisze dalej, że jednak „nie uchodzi, aby przyszłość Włochów które są czynnikiem cywilizacyjnym przez Opatrzność wyznaczonym umniejszać z powodu stanu obecnego, który zależy od łaski obecnej dyplomacji i od dobrej gwiazdy panującej obecnie dynastji”. A przeto „wielu katolików” życzy sobie szanie, aby Włochy umocniły swoje stanowisko na morzu Śródziemnym i stały się wielkim mocarstwem, robią jednak zastrzeżenie charakterystyczne: „Katolicy włoscy żyją nadzieją, iż w dalszej, czy bliższej przyszłości Włochy znów staną przy Papięzu, a w tym dniu kraj winien mieć taką potęgę, jaką obecnie zamierza uzyskać na morzu Śródziemnym. Dobry ojciec rodziny stara się o przyszłość syna, chociażby ten żył niekiekieleżanie, gdyż zawsze liczy na jego późniejszą poprawę. Z tego stanowiska możnazrozumieć, że katolicy włoscy są z pewną rezerwą życzyliwi zamiarom ekspansji, jakie żywi ich kraj, a to ufając w lepszą przyszłość, w której wpływ i siła ich ojczyzny pójdzie w służbę sprawie

dliwosci i prawdy i będzie przyczyniała się do wielkości Papięstwa”

A jeżeli Włosi zostaną nadal przy dynastji Sabaudzkiej i nie zechcą stać się powiększonym państwem Kościelnym? Co wtedy będzie z Trypolisem i ekspansją?

Na to pytanie „katolicy włoscy” nie dają odpowiedzi.

Przewóz wojska morzem

Przewóz korpusu ekspedycyjnego włoskiego do Trypolisu, odbywającego się obecnie, zwrócił uwagę na stronę techniczną tego przedsięwzięcia, które przedstawia dosyć znaczne trudności.

Są dwa sposoby przewożenia wojska. Oddziały mniejsze, nie mające koni, mogą być przewożone na okrętach wojennych, zwłaszcza, jeżeli podróż trwa tak krótko, że niepotrzebny jest nocleg.

Jednakże w tym wypadku jest nieodzownym warunkiem obezwładnienie floty nieprzyjacielskiej. Dopóki nieprzyjacielskie okręty są w pobliżu, musi flota własna mieć zupełną wolność ruchów, a wolność tę kępają w znacznym stopniu znajdujące się na pokładzie oddziały wojskowe. To też ten sposób przewozu wojska rzadko bywa używany.

Z reguły wojska bywają przewożone za pomocą zwyczajnych parowców. Na okrętach trzeba jednak dokonywać pewnych przeróbek, wojsko bowiem musi często nocować na pokładzie, a przedewszystkiem trzeba urządzić pomieszczenie dla koni, artylerji i pociągów wojskowych. Każdy koń bywa umieszczany w osobnym przedziale, rodzaju klatki, ażeby na wypadek burzy, albo spłoszenia się zwierząt, konie nawzajem nie pokalały się. Te klatki są dla oszczędzenia miejsca tak wąskie, że koń położony się nie może. Oczywiście zwierzęta są znużone taką podróżą, ale jest to rzecz nieunikniona.

W portach posiadających nowoczesne urządzenia, zwłaszcza odpowiednie tamy, oddziały wojskowe mogą dostać się w krótkim czasie na pokład. Jeżeli wszystko zostało należycie przygotowane, cały korpus ekspedycyjny z konicą, pociągami wojskowymi i artylerją może w przeciągu 12 godzin dostać się na okręty.

Znacznie dłużej trwa wysadzenie wojska na pokład, jeżeli wielkie parowce przewożone nie mogą przybić do brzegu, ale muszą stać na kotwicy w pewnym oddaleniu. Wtedy trzeba wozic za pomocą łodzi tak żołnierzy, jakoteż i cały materiał wojenny.

Jednakże i w tym wypadku, o ile wszystko zostało dobrze przygotowane, można cały korpus umieścić na parowcach w przeciągu 48 godzin.

Gdy okręty przewozowe są już przygotowane do podróży, wtedy komendant floty przewozowej musi zarządzić środki obronne wobec floty nieprzyjacielskiej. — Na czele, w znacznej odległości płynie dywizja krążowników, wysuwając naprzód torpedowce. Po obu stronach floty przewozowej, która w miarę swej sily liczebnej płynie w dwóch lub więcej kolumnach, znajdują się ciężkie okręty wojenne, które także dalej na prawo. Względnie na lewo wysyłają lekkie okręty i torpedowce.

Jeżeli państwo, prowadzące wojnę, ma do statecznie liczną flotę, w takim razie komendant floty przewozowej wysłał eskadrę w tym kierunku, skąd spodziewany jest napad ze strony floty nieprzyjacielskiej. Ta eskadra ma także za zadanie zabezpieczyć przewożonemu wojsku lądowanie na wybrzeżu nieprzyjacielskim. W tym celu eskadra owa ogniem działowym spędza z wybrzeży oddziały nieprzyjacielskie, zani.n nadpłynię flota przewozowa.

Oczywiście nieprzyjacieli czyni na morzu wszystko, ażeby nietylko utrudnić ruch floty wojennej wrogiemu państwu, lecz także o ile możliwości przerwać ruch okrętów handlowych. W tym celu Turcyja pogasiła obecnie latarnie morskie na swoich morzach. Wszystkie tureckie latarnie morskie, z wyjątkiem tych, które

zbudowane zostały na Krecie, nie funkcjonują, okręty zaś po zachodzie słońca nie mogą płynąć przez Dardanele pomiędzy Kum-Kale a Sed-duch-Sahr.

KRONIKA.

W Ponta Grosie zamordowany został dnia 7 b. m. kupiec tamtejszy Elesbao Augusto Cordeiro. Powodem morderstwa był rabunek. Policja podobno już wpadła na ślady zbrodniarza.

W Araukaryi ma być utworzona praktyczna szkoła rolnicza. Kamera przeznaczyła już 15 kontów na zakupno potrzebnego obszaru. Tu-tejsza firma przemysłowa Emil Voss & C^{ia} wniosła podanie do Kamery o przywilej połączenia tej miejscowości z Kurtybą linią tramwajową, tak dla ruchu osobowego jak i dla towarowego.

W zeszłą niedzielę odbyły się naraz 3 wesela w barakach emigracyjnych. Śluby cywilne brano w katedrze, a potem nastąpiła szeroka zabawa w samych barakach.

Na kolonii Affonso Penna ukazały się w ogromnej ilości gąsienicy robzące wielkie szkody w zasiewach.

Kolonisci polscy z kolonii General Carneiro wnieśli prośbę do władz w Palmas, aby te ukarały morderców, którzy jeszcze w miesiącu czerwcu dwóch kolonistów życia pozbawili, a którzy dotychczas bezkarnie grasują po kolonii niepokojąc spokojnych mieszkańców.

W niedzielę przybyło do Paranagua 150 imigrantów a za dwa dni ma przybyć dalszy transport składający się z 800 głów.

Celem założenia w Kurtybie średniej szkoły polskiej zawiązał się Komitet obywatelski ze wszystkich sfer utojszego społeczeństwa polskiego bez względu na zapatrywania polityczne i religijne. Głównym zadaniem Komitetu jest stworzenie wzorowej szkoły z kursami wyższymi, bezpłatną nauką a niezależną od żadnego z istniejących tu Towarzystw. Więcej szczegółów podaje odezwa która w licznych egzemplarzach cyркуluje po mieście.

Dnia 26. listopada urządził Towarzystwo „Władysława Jagiełły” w Abranches obchód listopadowy ze współudziałem Towarzystw w Lamonii Wielkiej, Lamonii Małej i P.katuby. Mamy nadzieję, że i Towarzystwo z Kandydy, które niniejszem zapraszamy, do współudziału w obchodzie się przyłączy.

O godzinie 9-tej rano zbiorą się uczestnicy w sali Towarzystwa Jagiełły, z kąd o godzinie 10-tej wyruszy wspólny pochód ze sztandarami i muzyką na nabożeństwo do kościoła parafialnego. Po skończonym nabożeństwie w tym samym porządku nastąpi powrót do sali Towarzystwa celem wysłuchania mów i deklamacji zastosowanych do okoliczności, a po skończeniu odbędzie się loterya fantowa.

O godzinie 7-mej wieczorem rozpocznie się bal w sali Towarzystwa Jagiełły.

za ZARZĄD

Hipolit Kowalski, Prezes
Bernard Kwasiński Wice prezes.

Ostatnie wiadomości

Rio. Wybuchła tu epidemia tyfusowa zabierająca wiele ofiar. Dyrekcya higieny przedsięwzięta energicznie zarządzenia celem zwalczania epidemii.

gospodyni jego, starsza i bardzo szanowna kobieta, Marta Wood, i Mally Pilling, pokojówka. Stangret i służący mieszkali poza domem. Doktor miał zwyczaj siadywać późno w noc w gabinecie swoim, przyległym do pokoju przyjęć; te pokoje znajdowały się w części domu, najdalej od pokoi służących. To właśnie skrzydło domu miało osobne drzwi dla dogodności pacjentów, tak że doktor mógł wpuścić lub wypuścić gościa bez niczyjej wiedzy. Zazwyczaj też późno przychodzących pacjentów wpuszczali sam tem wejściem od pokoju przyjęć, bo pokojowa i go spodyni chodzą spać wcześniej.

Owego specjalnego wieczora Marta Wood o 1/210 zaszła do gabinetu doktora. Doktor przy biurku zajęty był jakimś pisanem. Po wiedziała mu dobranoc, posłała dziewczynę spać, a sama krzątała się jeszcze około jakiegoś gospodarskiego zajęcia aż do 3 kwadransy na jedenastą. Jedenas'a biła w sieni, gdy wchodziła do swego pokoju. W jaki kwadrans, a może w dwadzieścia minut później usłyszała krzyk, czy wołanie, dochodzące, jak jej się zdawało, skądś z głębi domu. Poczekając czas jakiś i nasłuchiwała, ale krzyk się nie powtórzył. Mocno przestraszona, gdyż krzyk głośny był i jak gdyby naglący, za rzuciła na siebie szlafrok i co tchu pobiegła do gabinetu doktora.

— kto tam? — odpowiedział głos z wewnątrz na jej pukanie.

— To ja proszę pana — ja, Mrs. Wood.

— Zostaw mnie pani w spokoju! Proszę zaraz wracać do siebie!

Pani Wood była najpewniejsza że to głos jej pana. Brzmiał zaś tak szorstko i tak od zwykłego jego uprzejmego i łagodnego głosu odbijał, że nietylko zadziwiła się, ale poczuła się dotkniętą.

— Zdawało mi się, że pan wołał — odpowiedziała, nie dostała jednak żadnej odpowiedzi. Mrs. Wood, wracając do swego pokoju, spojrzała na zegar. Wskazówka stała na 1/212.

Pomiędzy godziną 11 a 12 (nie umiała czasu określić dokładnie) późniejsza pacjentka przyszła do doktora, ale nie mogła się do niego dopukać. Tym późnym gościem była Mrs. Mading, żona miejscowego sklepikarza, który przechodził niebezpieczny tyfus. Dr. Lana, będąc u nich za dnia, kazał kobiecie przyjść jeszcze przed nocą i przynieść wiadomość o tem, jak się czuje mąż. Kobieta wdziała światło w gabinecie, ale ponieważ na kilkakrotne pukanie do drzwi poczekalni nie otrzymała żadnej odpowiedzi, więc przypuszczając, że doktor wyszedł z domu, powróciła do siebie.

Przed domem doktora znajduje się krótka kręta droga zajazdowa, oświetlona lampą przy końcu. W chwili, gdy Mrs. Madding wychodziła z bramy, mężczyzna jakiś szedł właśnie ścieżką ku bramie. Sądząc, że to może dr. Lana wraca z wizyty od chorych, Mrs. Mading zaczęła na niego i zdziwiła się, po-

znając Mr. Artura, młodego dziedzica. W świetle lampy zauważyła, że wyglądał silnie wzburzony i że trzymał w ręku ciężką szpicrutę. Zaczęła go w chwili, gdy wchodził w bramę.

— Doktora niema w domu, — proszę pana — rzekła.

— Skąd to pani wie? — zapytał ostro.

— Naprawdę kilka razy pukałam do drzwi poczekalni.

Widzę światło — rzekł młody dziedzic, patrząc wzdłuż zajazdu. — Czy to się nie w jego gabinecie świeci?

— Tak, proszę pana; a jednak z pewnością doktora niema w domu.

— To nic, w każdym razie muszę przecież wrócić — odpowiedział młody Morton i wszedł w bramę, podczas gdy Mrs. Madding zabrała się do domu.

O trzeciej nad ranem stan sklepikarza tak się pogorszył, że przestraszona kobieta postanowiła, nie zwlekając, iść po doktora. Wchodząc w bramę ze zdziwieniem spostrzegła, że ktoś się błąka między krzewami ogródka. Była to zapewne postać mężczyzny, a Mrs. Madding była przekonana, że to Mr. Artur Morton. Przejęta własną troską, nie zastana wiała się nad tam spotkaniem i spieszenie podążyła za swym interesem.

Zbliżywszy się do domu, spostrzegła, zdziwiona bardzo, że światło wciąż jeszcze pali się w gabinecie. To też śmiało zapukała do poczekalni. Nikt nie odpowiedział. Powta-

rzała pukanie kilkakrotnie, ale znowu nadaremnie. Mrs. Madding pomyślała, że przecież to dziwne, by doktor albo spać miał pojsć, albo wyjść z domu, pozostawiając w pokoju takie jasne światło; przyszło jej natomiast na myśl, że może doktor zdzremnął się w fotelu? Zaczęła tedy pukać wprost do okna ga binetu, ale i teraz naprzóżno. To też widząc, że jest szpara między roletą a ramą okienną, kobieta spojrzała przez szparę.

Mały pokój oświecała jasno wielka lampa stojąca na środkowym stole; na stole tym leżały książki i instrumenta lekarskie. Nie było widać nikogo, niczego też niezwykłego nie dojrzała na razie, prócz tego, że nieco dalej w cieniu stoła, leżała na dywanie brudna, biała rękawiczka.

I teraz nagle, w miarę, jak oczy jej oswajały się ze światłem, dostrzegła, że nieopodal, w cieniu pod stołem wychyla się noga w pantofel obuta. Z dreszczem przerażenia rozpoznała teraz, że to, co uważała za rękawiczkę, jest ręką człowieka, leżącego na podłodze.

Mrs. Madding, pojmując wreszcie, że coś okropnego stać się tu musiało, pobiegła, zadzwoniła do drzwi frontowych i zbudziła gospodynię. Obiedwie kobiety, wysławszy w pierw pokojówkę po policję, podążyły do gabinetu doktora.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Konstantynopol. Rząd turecki przesłał protest wszystkim mocarstwom przeciwko dekretowi rządu włoskiego, według którego Trypolis i Cyrenaika zostały przyłączone jako nowe prowincje do królestwa włoskiego. W tym proteście rząd turecki zapowiada opór zbrojny aż do ostateczności.

Berlin. W tutejszych kołach urzędowych panuje przekonanie, że rząd włoski może dokonać zaboru prowincji tureckich jedynie za poprzednim zrzeczeniem się ich przez rząd turecki.

Londyn. Donoszą z Hong-Kongu, że wiadomość o zajęciu przez republikanów stolicy państwa Pekinga wywołała tu niesłychany zapór i manifestacje. Na każdym kroku spotyka się sztandary republikańskie obnoszone triumfalnie przez ludność.

W ostatniej chwili jednak zapór znacznie osłabł, gdyż wiadomość o zajęciu Pekinga okazała się nieprawdziwą.

Londyn. Europejczycy mieszkający w Pekingu za radą przedstawicieli mocarstwa schronili się do ambasad w obawie przed zbliżającymi się siłami republikańskimi. Spodziewają się tu krwawych walk.

Paryż. Telegrafują z Tunisu, że wybuchły tu krwawe zajęcia między Włochami i Arabami; 50 Włochów padło ofiarą zamieszek.

Meksyk. Pod miastem Juchitán przyszło do krwawej bitwy między wojskami rządowymi, a rewolucjonistami w której zginęło 1000 ludzi.

Konstantynopol. Rząd turecki zaprotestował u mocarstw przeciwko okrucieństwom jakich się Włosi na bezbronnej ludności i jeńcach wojennych dopuszczają.

Konstantynopol. 11. W bitwie z dnia 6 b. m. stracił włosi 235 ludzi w rannych i zabitych, nie licząc wziętych do niewoli.

Rzym. 11. Silna kolumna turecka zaatakowała wczoraj fort Hamidje. Artyleria włoska wspomaganą przez pancerniki stojące w porcie zmusiła Turków do odwrotu.

Peking. 11. W Nankinie trwa krwawa walka między wojskami rządowymi i republikańskimi.

Prowincja Szantung ogłosiła się samodzielną.

Dzielnica europejska w Hong-Kongu strzeżona jest przez marynarzy angielskich.

Konstantynopol. 13. Ostatnie wiadomości nadeszły z Trypolisu są niepomyślne; wojska tureckie w kilku ostatnich starciach ponieść miały znaczne straty.

Londyn. 13. Konduktant statku najemnego austriackiego, który powrócił z Trypolis, wyraził się nader pochlebnie o męstwie wojsk tureckich.

Peking. 13. Zdaje się, że państwo chińskie rozpadnie się na kilka od siebie niezależnych części.

Część południowa będzie republiką, Mandżuria zachowa monarchię, a reszta przyjmie formę rządu, jaką jej okoliczności wskażą.

Konstantynopol. 14. Rząd turecki został zawiadomiony, że wczoraj przepłynęło koło wyspy Carote(?) 30 statków wojennych włoskich.

Mediolan. 14. W kołach urzędowych obiega wiadomość, że odtąd operacje wojenne rozszerzone zostaną na wszystkie posiadłości tureckie.

Wiedeń. 14. Schroniło się do Tyrolu (w Austrii) 200 uchodźców z wojska włoskiego.

Peking. 14. Donoszą z Nankinu, że admirałowie angielski i niemiecki ofiarowali konsulom schronienie na swych okrętach, gdyż nie mają sił do obrony ich na lądzie. Przybyło do Nankinu 13 statków wojennych chińskich, które przy wpłyściu do portu wywiesiły flagi republikańskie.

Teheran. 14. (Stolica Persyi). Wywołała tu wielkie wzburzenie nota rosyjska, której treść jest wielce ubliżającą dla Persyi.

Rozmaitości.

Jak długo żyjemy? a jak długo moglibyśmy żyć?

Jeden z włoskich dziennikarzy zadał sobie pracę zbadania, do jakiej granicy dochodzi średnio wiek ludzi w różnych krajach i osiągnął takie wyniki: Średni wiek ludzi wynosi: w Szwecyi 64 lat, w Danii 63, w Norwegii 62½, w Belgii 57½, w Irlandyi 56½, w Francyi 56½, w Anglii 54, we Włoszech 53, w Holandyi 52½, w Szwajcaryi 52½, w Austrii 48½, w Niemczech 40½.

Widzimy więc z tego, że bardzo o'daleni jesteśmy od tej granicy wieku, do jakiej dochodzą mieszkańcy Szwecyi, nie mówiąc już o tej jakiej wogóle moglibyśmy osiągnąć, gdybyśmy umieli żyć i dochodzić wieku, określonego nam jako wiek normalny przez różnych uczonych przyrodników. Naprzykład znakomity zoolog Weissman w dziełach swych: „Długość życia” i „Wieczność życia”, usiłuje na podstawie licznych doświadczeń udowodnić, że długość ludzkiego życia stoi w prostym stosunku do czasu, jakiego potrzebuje szkielet kostny człowieka, aby się zupełnie rozwinął. Według ujętego francuskiego Buffona, przedstawiałby się stosunek, jak 1 do 6 lub 1 do 7. według Hallera jak 1 do 8.

Ponieważ więc szkielet kostny dopiero po 25 do 30 lat życia staje się u człowieka zupełnie doskonale rozwiniętym, stąd jak Buffon wnioskuje musiaby człowiek żyć 175 do 210, a jak Haller wnioskuje, 200 do 240 lat.

W jaki sposób można dojść do takiego

wieku? Milczy o tem nauka? Czy należy jeść tylko mięsne potrawy, czy roślinne, czy pić wino, czy tylko wodę? Pewnym jest jednak to że kto pragnie w zdrowiu dożyć długiego wieku powinien od pierwszej młodości prowadzić tryb życia uregulowany, zupełnie nie używać podniecających napojów alkoholicznych, pić mało kawy i herbaty, nie palić tytoniu i jeść umiarkowanie.

Wprowadzić namiętni palacze zastaniają się wprawdzie namiętni palacze zastaniają się tem, że jakiś Brown ogromnie dużo palił cygar, a dożył 120 lat; lubownicy kawy przypominają znowu znakomitego francuskiego bajkomisarza Lafontaine'a, który, garkami pijąc kawę dożył ogromnie sędziwego wieku... Ale to są wyjątki, których nie można brać za regułę. Prawdopodobnie organizmy tych ludzi były tak silne, że i te trujące rzeczy nie mogły im dać rady. Ale takie organizmy były zawsze, a dziś są tem więcej rzadkości.

Najlepsze jest w każdym kierunku umiarkowanie i uregulowany tryb życia, zapewniający spokój ducha, gdyż duchowe podniecenia także bardzo podkopują zdrowie.

Z ludzi, którzy w ostatnich czasach przekroczyli wiek 100 lat i mają na to dowody, wymienić należy Tomasza Parre, który osiągnął 157 lat życia, a w 120 pojął w małżeństwo młodą wdowę o H. Jenkinie, który żył 170 lat, a umarł wskutek przeziębienia, i Hasana Kela-Beya, który we wieku 148 lat jeździł konno i umarł wskutek upadku z konia.

Wstępny handel.

Silne wrażenie wywołała w Niemczech broszura majora Wagnera, sekretarza „niemieckiego Związku w celu zwalczania handlu dziewczętami”, w której autor scharakteryzował nitylko organizację ohydnej rzemiosła, lecz wymienił nazwiska głównych handlarzy mięsa ludzkiego.

Major Wagner — pisze jeden z korespondentów — rozróżnia w organizacji handlu towarem ludzkim trzy działy: wywóz przewóz i przywóz. Każdy z tych działów ma oddzielnych kierowników, naganiaczy i agentów. Głównym polem zbytu są domy publiczne. Agentami są przeważnie żydzi rosyjscy, polscy i węgierscy. Jak w innych, tak i w tym handlu są firmy mniejsze i większe. Jako najpoważniejsze wymieniam autor; Jimi Witman, Emanuel Scherer, Madame Herzog, Franz Schwarz, Georgina Eidselman.

Komitet Związku prowadzi listę osób, zajętych w handlu dziewczętami, na której figuruje — przeszło 1400 nazwisk z wymienieniem zawodów. Największy kontyngent handlarzy zajmują faktory i faktorki wszelkiego gatunku, potem idą sutenerzy, przedsiębiorcy rozmaitych widowisk, masażystki, akuszerki, wreszcie agenci emigracyjni. Rzecz naturalna, że ludzie ci najtroskliwiej ukrywają swoje zajęcie i tak n.p. pewna handlarzka dziewczętami w Wiedniu należała do czterech stowarzyszeń religijnych. W kilku wypadkach wykryto, że stręczytelami dziewcząt do domów publicznych byli szumnie reklamowani nauczyciele języków.

Co do stosunków z policją, to najbardziej skandaliczne wypadki wykryto w Nowym Yorku, — gdzie wyżsi urzędnicy pobierali od handlarzy wysokie opłaty za pozostawienie ich w spokoju, a niżsi często byli członkami spółek handlarskich. Doszło do tego nawet, że prezesa policji nowojorskiej oskarżono publicznie o branie łapówek od handlarzy.

W stosunkach między policją a handlarzami tkwi główna trudność zwalczania wstępnego procederu.

Jakie rozmiary przybiera handel dziewczętami, dowodzi fakt, iż jeden z galicyjskich handlarzy nazwiskiem Behr, wywozi rok rocznie do Konstantynopola kilka setek ofiar i tam wystawia je prawie publicznie w dzielnicy Galata na sprzedaż, biorąc od szuki po 4.000 do 15.000 marek, zależnie od urody.

W dalszym ciągu swej pracy opisuje major Wagner sposoby jakimi chwytają agenci i naganiacze biedne dziewczęta, przeważnie z uboższych kół żydowskich w Królestwie Polskim, Rosyi południowej, w Galicyi i na Węgrzech. Ofiarowanie dobrej służby to najwykleszy sposób na mowę. W wypadkach trudniejszych używają środka rzadko zawodzącego t.j. małżeńskiego.

Praca majora Wagnera powinna poruszyć opinię publiczną i wywrzeć nacisk na państwo, w których ręku leży energiczniejsze tłumienie ohydnej procedury handlarzy ludzkim towarem.

Ostatni Mohikanie.

Od czasu, gdy Fenimore Cooper zapoznał świat cywilizowany, zwłaszcza jego młodzież, z bohaterkami walkami, toczącymi się w głębi puszcz amerykańskich, odkąd popularni stały się jego wspaniałe typy „ostatnich Mohikanów”, rozpowszechniło się mniemanie, że czerwona rasa Ameryki Północnej naprawdę wymiera, tępiona bezlitośnie przez „białe twarze”, przez „broń palną i wodę ognistą”, a nie mniej przez choroby, jakie przyniosła jej w darze — cywilizacja europejska. Bolała nad tem młodzież nasza, rozkoszując się mniej lub więcej fantastycznymi opowieściami o „czerwonoskórych”, malarze i poeci brali chętnie tę tragikę „ginącej rasy” za motyw do swoich utworów, a nawet poważni myśliciele rozprawiali na temat, że cywilizacja europejska nie wszędzie i nie zawsze do bre wydaje owoce.

Tymczasem, jak w tylu innych wypadkach, tak i w tym rzeczywistość kłam zadawała romantyce. Otóż statystyka stwierdza niezabicie, że „czerwonoskóry” na terytorium Stanów

Zjednoczonych nietylko nie wymierają, lecz nawet w czasach ostatnich szybko się mnożyć zaczęli. I tak podczas, gdy w roku 1890 naliczono ich 243.000, było ich już w roku 1900 270.000, a w roku 1910 nawet 305.000. Liczba urodzin dochodzi u nich do 34 na tysiąc w roku, czyli do wysokości, jaką tylko niektóre narody Europy poszczycić się mogą. Stwierdzono Jaleję, że na tę płodność nie wpływa bynajmniej mieszanie się ich z rasą białą, bo u Indian czystej krwi, taki sam na potkano przyrost naturalny.

Ze były czasy, w których wśród ustawicznych wojen z „białymi”, lub między sobą, szczepy czerwonoskóre Ameryki Północnej powoli topniały, to nie ulega wątpliwości. Faktem jest, że dość znaczna liczba pierwotnych szczepów amerykańskich rzeczywiście zupełnie wypięta została i że inne znacznie zmalały. Obecnie atoli, odkąd rząd amerykański uczciwie zajął się ich losem, odkąd wypięci bezlitośnie dawnych agentów indyjskich, którzy wzbogacali się kosztem „czerwonoskórych”, odkąd w rezerwach indyjskich podbudował szkoły i szpitale, ustanowił lekarzy i pielęgniarki chorych stan ten zmienił się zupełnie i dziś ta rzekomo ginąca rasa znów się mnoży i rozrasta, a fizycznie bynajmniej się nie degeneruje.

Część jej przyjęła już zupełnie cywilizację europejską, część zachowała jeszcze dawny koczujący sposób życia w obrębie wyznaczonych dla nich terytoriów, owych „rezerwacyj”. Tym, którzy już z tego sposobu życia, z polowania i rybołówstwa utrzymać się nie mogą, rząd amerykański dostarcza hojnie zboża i bydła, skór i sukna na ubranie. Wyznaczone im ziemie uważa się obecnie za nietykalną wprost ich własność, którą zarządza osobny departament w Waszyngtonie, a dziś zarządza nim uczciwie i opieka ta sprawiła, że ci biedni, rzekomo tępioni „czerwonoskórzy” są dziś naprawdę najbogatszym narodem na świecie. Wartość pozostawionych im jeszcze ziem wynosi bowiem, według ostatniego oszacowania, przeszło 600 milionów dolarów. Do tego dodać należy kapitały, gromadzone dla nich ze sprzedaży lub wydzierżawienia pewnych części rezerwacji. Innymi słowy, na głowę tej ludności, na każdego Indianina Stanów Zjednoczonych, przypada dziś majątek narodowy w wysokości przeszło 2000 dolarów (4000 rubli) Tymczasem we Francyi najbogatszym krajem na świecie, przeciętny majątek jednostki nie osiąga nawet połowy tej kwoty.

To też żyją dziś bardzo wygodnie, nawet bez pracy i trudu, jako pensjonarze rządu i sami zapewne drwią z romantyki, która żyroni nad ich nędzą i „szybkim wymieraniem”.

Afrykański potwór przedpotopowy.

Przed więcej niż dwa lata rozniósł dzieńniki wiadomość o odkryciu, dokonaniem przez znakomitego uczonego ze Sztutgartu, Eberharda Fraasa, któremu udało się natrafić w Niemczech Afryce wschodniej na kości jakiegoś potwornego zwierzęcia przedpotopowego, przed jakim w cień usunięte zostały wszystkie podobne do dzisiaj znane. Nawet amerykańskie smoki olbrzymie (dinozaury) ustąpić musiały miejsca afrykańskiemu zaleziisku. A przecież już te potwory odwiecza dochodzą 35 metrów długości i 5 metrów wysokości.

Miejsce znaleziska znajduje się opodal Tendaguru, jakich pięć dni drogi od północnej miejscowości Indyi, w niemieckiej Afryce wschodniej. W ostatnich czasach przewieziono do Berlina 321 wielkich pak, ważących razem 50 tysięcy kilogramów a zawierających mnóstwo poszczególnych kości szkieletowych. O potwornych rozmiarach odkrytego zwierzęcia dają już pojęcie wymiary niektórych części, z których jedna n.p. kość górnej ramienia długa jest na 2,10 m Zebra dochodzą niezwykłej długości 2 i pół metra, a jeden jedyny kręgi posiada wprost gigantyczne rozmiary, 1,20 m. wysokości. W ostatnich dniach przyszła z Afryki wiadomość, iż natrafiono także na całą głowę tego potwora. Kości tego potwora, nazwanego gigantosaurem, przewyższają dwukrotnie rozmiarami swymi kości ustawionego w berlińskim Muzeum przyrody 25 metrów długiego diplococusa, do którego pod względem kształtów ciała podobny był ów potworny zwierz afrykański.

O olbrzymich trudach, jakie do pokonania miała ekspedycja, najlepsze wyobrażenie daje ta okoliczność iż wszystkie kości w braku nie już kolei, ale jakiegokolwiekby drogi, przez transportowane być musiały z Tendaguru na wybrzeże morza na głowach Negrów. Ponieważ zaś są one skamieniałe, a więc nie próżne wewnątrz, to nie rzadko jeden kawałek ważył kilka centnarów. Potrzebny w ogromnych ilościach do opakowywania gips, niezgany całkiem na miejscu, sprowadzany być musiał z Europy i to do tego w lutowniczych skrzyżniach blaszanych, co kosztowało go zwiększyło z jednej marki na 25 płaconych w Afryce! Ponieważ zaś krajowcy budują chaty swe jedynie z dylów i bali i nie znają całkowicie desek, więc również i same paki drewniane sprowadzać musiało z Europy. Rzadko jednak trafia się że przedsięwzięcie jakiegoś naukowe, opłaca się tak wspaniałym wynikiem, jak w danym wypadku. Dlatego też nie zaniedbano dalszych badań na tym terenie i dotychczas wydobyto jeszcze więcej kości i nych ciekawych zwierząt kopalnych, które uzupełnią pokaźnie nasze wiadomości paleontologiczne oinośności do fauny Afryki i całego globu.

Święto starców.

W stanie Utah, na jesieni każdego roku odbywa się wielka uroczystość — „święto

starców. Uroczystość trwa cały tydzień. Do miasta Salt Lake City, największego w tym stanie, zwożą starców w wieku lat siedemdziesięciu lub wyżej, wszystkich z całego stanu. Koszty uroczystości ponoszą komitety publiczne, upoważnione do kolektowania funduszków przez Kościół mormonów Stan Utah a szczególnie miasto Salt Lake City, jest głównym siedziskiem sekty mormonów. Ale jakkolwiek uroczystość tę urządzają mormoni, wszyscy starcy bez różnicy rasy i wyznań doznają jednakowo gościnnego przyjęcia. Przez tydzień cały starcy zająwają i raczą się obficie z suto zastawionych stołów. A gdy święto ich ma się ku końcowi, rozjeżdżają się do domów, pełni błogiemu uczucia, że starość znajduje poszanowanie chociażby w stanie Utah.

Tego roku zjedzie się na tę uroczystość około piętnastu tysięcy starców. Będą oni podzieleni na trzy grupy, a we wszystkich urządzonych na ich cześć zabawach i przyjęciach będą trzymać się grupami. W skład pierwszej grupy wejdą starcy w wieku lat siedemdziesięciu i będą mieli odznaki czerwone. Druga grupa będzie obejmować starców w wieku od osiemdziesięciu do dziewięćdziesięciu lat, przystrojonych w błękitne odznaki. Na uwagę największą będzie zasługiwać grupa trzecia. Będą to starcy z odznakami śnieżno białymi na znak, że już minęli dziewięć krzyżyk. Sądziwi ci starcy dumni są ze swego sędziwego wieku i na pierwsze swe grupy spoglądają jakby na dzieci.

Jak muzyka działa na zwierzęta.

W Anglii robiono doświadczenia, aby się przekonać jak oddziaływują dźwięki muzyki na dzikie zwierzęta. Wybrano do prób skrzypce, piszczałkę i flet. Dźwięk skrzypiec podobał się wszystkim zwierzętom bez wyjątku. Zwracali one głowy w kierunku, skąd dochodziły tony: lew wymachiwał ogonem, lwica krążyła po klatce, biały niedźwiedź siadał na tylnych łapach i mrucał z widocznym zadowoleniem; nawet węże poruszały w takt głowami i szczyły radośnie; tygrys przysuchiwał się z podniesioną w górę łapą. Natomiast dźwięk piszczałki doprowadzał wszystkie zwierzęta do wściekłości. Stoń stulił uszy i odszedł jak mógł najdalej; struś trzepotał skrzydłami i chciał uciekać; tygrys chłostał ziemię ogonem; węże wity się, jak w bólach. Lecz tony fletu uspokoiły odrazu to ogólnie wzburzenie.

Zupełną objętność na muzykę objawiły tylko tarantule, żółwie i okularniki. Wszystkie inne zwierzęta okazywały niechętną wrażliwość na dźwięki fałszywe. Gdy struna u skrzypiec pękła, wilk podłożył ogon pod siebie, skulił się i ukrył w najdalszym kącie klatki.

Ta się nacierpiła.

Niejaka Helena Klitgardowa, w San Francisco, wniosła prośbę o rozwód ze swym mężem, dowodząc, że przez siedm lat mieszkania wspólnego nie przemówił do niej ani jednego słowa. Zaraz po ślubie, pospreczał się on z nią z powodu jakiejś błahostki i od tego czasu porozumiewali się ze sobą małonkowie tylko pisemnie.

Stuletni nowożeniec.

Niezwykłe zainteresowanie budzi w Londynie zamierzone małżeństwo pewnego sędziwego, bo 90 przeszło lat liczącego jegomościa z 25 letnią panienką. Staruszek owdowiał przed 4 miesiącami i tak bardzo czuł się opuszczony i nieszczęśliwy, że postanowił za wszelką cenę ożenić się znowu. Ze młoda panna oddaje mu rękę, zrozumie każdy bardzo łatwo, gdy powiemy, że „narzeczony” jest bardzo bogaty i żonę obiecuje zapisać majątek.

Biała starym kawalerom.

Na starych kawalerów nowy nałożono ciężar w Oldenbergu. Pisma niemieckie donoszą, że tamtejsza izba skarbowa uchwaliła ustawę, mocą której wszystkie osoby stanu bezżennego między 30 a 50 rokiem życia, rozprządzający dochodem rocznym większym niż 500 marek, mają opłacać od podatków prężniwowych i krajowych dodatek 10-cio procentowy.

Fundusz, uzyskany z tych dodatków, ma rząd obracać na wspomaganie rodzin, obdarzonych licznymi dziećmi. Od podatku uwolnione są osoby, utrzymujące swe prawe dzieci i osoby zakonne, żyjące przymusowo w bezżenstwie. Ponieważ mało tylko starych panien rozprządza dochodem rocznym 4500 marek, przeto dotknie ten podatek prawie wyłącznie starych a zamożnych kawalerów.

KALENDARZE

„Maryańskie” i „Katolik”

na rok Pański 1912

już nadeszły i są do nabycia w drukarni i księgarni CEZARA SCHULCA, rua Barao do Serro Azul, — Curitiba, Parana.

Poszukuje się **TKACZA** do fabryki tkanin, specjaliści do działu tak zwanego **Kettenscheren (Zettele)**. Władca językiem niemieckim mają pierwszeństwo.
Hilario Hofmann,
Rua S. Francisco 7. Curitiba.

WŁADYSŁAW HERMAN I JEGO DWÓR

przez Zygmunta Krasińskiego.

(Ciąg dalszy.)

— Któż taki stoi na straży — zapytał rycerz.

— Nieszczęśliwym trafem: Gierda pilnuje tam murów.

— Szkoda — rzekł zimno Mestwin — szkoda, dobry żołnierz.

— Nie rozumiem znaczenia tych słów rycerzu?

— Człowiek, który widział mój pierścień, musi i mój sztylet zobaczyć — spokojnie odparł Mestwin. — Czyż nie pojmujesz, że mógłby mnie zdradzić? Zapomniałem cię pytać czyś do samej kaplicy; księżnę odprowadził.

— Zostawiłem ją o pół drogi bom dalej iść nie mógł.

— Jeszcze dziecinne serce bije w twoich piersiach — z politowaniem ozwał się rycerz — ale mam nadzieję, że nadejdzie czas, w którym na takie wypadki mało albo wcale zważać nie będziesz.

— Spiesz się, panie, do księcia Zbigniewa.

— Nie czas jeszcze — odparł rycerz — niechże wprawem ona dojdzie do kaplicy, pięknieby było, żebyśmy ją na drodze spotkali, a wiem, że jak tylko puścisz mego orła z klatki do której go wsadziłem, to poleci niewstrzymany zadanym głosem ni namową. Ale cóż to zna czy? zupełnie zbladły, do trupa podobny Wstydy się chłopcze twojej słabości.

— Cóż mam robić, panie, kiedy czuję we mnie Bóg wlał duszę.

— Zahartuj serce — odparł rycerz, kładąc helm na głowę uzbrój piersi przeciw litości i rozczuleniu. Zatajmy lzy w oczach. Patrz przez lat wiele na zbrodnię, poznaj przebiegi ludzi, dowied się o ich obłudzie i skrytościach, a wzgardzisz podobnymi sobie i uważać ich będziesz za nędzny proch, przeznaczony twoim stopom, wtenczas krzyk boleści, jęk rozpacz, miłemi stanę się dla ciebie Wylanie krwi nienawistnej przyjemniejszem ci będzie, niż odwilżenie ust spiekłych chłodnym napojem. Wyraz cierpienia na obliczu bliźniego, napelni twą duszę rozkoszą, a klęski ludzkości twoim żywiołem, twojem życiem się staną.

— Teraz już czas, Urychu zęgam cię, zemsta wzywa mnie rozkazującym głosem, innego od niej na ziemi nieuznają pana, więc idę. — To mówiąc wyszedł, zmierzając do komnaty Zbigniewa.

Któż zdola opisać stan serca Zbigniewa w tym dniu wyrocznym, w którym odleciały go najmilsze nadzieje. Kto potrafi zimnemi słowami oznaczyć ścierające się w jego duszy namiętności. Raz w zupełnym odrętwieniu, nic nie postrzegając, zapomniał o wszystkim, myśli jeszcze opuszczały ziemię, ale też nie sięgały nieba zastrzymane w połowie między światem rzeczywistym, a krainą wyobraźni usypiały w beczynności, to znowu nabrawszy nad przyrodzonej siły, przedstawiały mu wszystko przybrane w żywsze i jaśniejsze od prawdziwych farby. Człowiek wtenczas nie znośny ogień rozlewający się po żyłach, krew rozchukany strumieniem biła do głowy, oczy ciskaty płomieniste wejrzenia a dla rozpalonych liców darmo szukał o chłody. Zdawało mu się, że otaczające przedmioty nowego życia nabrały, że ściany z płomieni go opasywały, że chmury przed chwilą posępnej białości, rozogniły się nagłą zmianą, i że wicher niewstrzymany rozrzucając budowle i mury, wziął górę nad zwykłym przyrodzenia porządkiem. Wszystko naokoło się chwiała przed błędnym wzrokiem, łoskot walących się głazów, łamiących się murów uszy mu przerażał. Porwany wirem niepowszechnionej wyobraźni, darmo zakrywał oczy, straszne i niepojęte obrazy ścigały go zawsze i zdawało mu się, że świat cały za czyną swoje rozprzęgnięcie od dnia, w którym stracił to, co mu najmilszem na tym świecie było. Lecz po chwili ustawała gorączka, gasła po chwili namiętność nim miotająca i znowu wszystko zimną przybierając postać, wszystko wracało do dawnego stanu, a wśród rzeczywistości, nic odpowiadającego uczuciom duszy nie

widział, i nowa męczarnia na miejscu przeszłej go dręczyła.

Noc pokryła ziemię, żadnej w tem nawet nie spostrzegł różnicy, nie zwrócił uwagi na ogaraiające go ciemności, nie zapalił lampy. Błyskawice oświecały pokój, czasami piorun grzmiał w górze, ale jakież płomienie mogły rozżarzoną w jego piersiach wyrównać? jakież piorun zastanowił, kiedy tak okropny cios spadł na jego głowę. To przechadzał się szybko to kładł się na łożo, odpiął pas żelazny zrzucił pałasz, zdjął rękawice, bo mu wszystko ciążyło. Hanna i Mieczysław wciąż przed nim stali. Rzucił się czasami pierwszą do nóg, drugiemu sztylet w piersi zatapiał, poglądał ponuro na żonę to znowu zapomniawszy o jej zdradzie, ścisnął ręce, całował w usta, ale znikome postacie usuwały się myśli goniącej w niezmiernym polu, którego już nie ograniczał rozsądek. Złudzenia coraz nowe następowały, i stawiając go na szczycie bez rozkoszy i szczęścia, chwilą potem w bezdenną strącając przepaść, a jednak dźwigała się jeszcze z niej dzielna dusza i ten umysł choć przywalony ogromem rozpacz, w samem pomieszczeniu i szaleństwie jeszcze był wielkim.

Wtem zakręcił się klucz w drzwiach żelaznych. Błysnęła pochodnia i zbrojny ukazał się Mestwin. Jak tylko Zbigniew otworzył oczy zobaczył, bez zbroi, bez oręża wybiegł z pokoju i pędem błyskawicy poleciał do komnaty żony.

— Hanno! Hanno! — zawołał.

Nikt nie odpowiedział i dalej mówić nie mógł. Wtem spojrzął na łożo i nowa nadzieja zajaśniała w oczach. Zbliżył się rozemknął zasłony, ale nie znalazł nikogo, i okropna prawda stała przed nim, wszystkich niepewności pozbawiona.

— A więc Bóg mnie ukarał — krzyknął i wznosił pierwszy raz w życiu wzrok pełen wyrzutów ku niebu; — ukarał... Ho tem tylko mógł ukarać.

Rycerz z Wilderthalu wszedł wtenczas i nie mógł wstrzymać zwykłego uśmiechu. Ściągnął księżę rękę do miejsca, gdzie zwyczajnie tkwił sztylet, ale szczęściem dla Mestwina, leżał on teraz zapomniany w pokoju Zbigniewa.

— Urągasz się — zawołał cichym głosem i zbliżył się do Mestwina, a wzrok jego tak był strasznym, że nawet rycerz niemiecki przez chwilę uczuł przejmującą bojaźń, lecz zaraz potem ścisnął rękę Zbigniewa.

— Księżę choć za mną, i poznaj o ile miłość kochanki różni się od wierności przyjaciela.

Nie opierał się syn Władysława, pobił ty zimną towarzyszą powagą, a wkrótce potem wiedziony przez Mestwina, przechodził pole dzielące zamek od starożytniej kaplicy.

Deszcz padał z wolna z czarnych chmur niebo zasępiających, błyskawice już nie migały, i grzmot czasem tylko w oddaleniu się odzywał. Czyste powietrze lekkiem poruszone wietrzykiem, przypominało pierwsze chwile upłynionej wiosny, i pannańskie spiekanie lata musiało chłodnej nocy zleżeć. A jednak każda kropla spadająca na głowę księcia, zdawała mu się gorejącą iskrą, murawa po której stapał rozpalonym żarem, każdy powiew wiatru ognistą zawiewał.

Prowadził go za rękę Mestwin, i szybko zbliżali się do niedalekiej kaplicy, w której zawieszona lampa bładawe rozsyłała promienie na otaczające gruzy i krzewy pod rosą się uginające. Wtenczas rycerz zwolnił kroku i prosił Zbigniewa, by wróciwszy do przytomności, szedł ostrożnie i jęki wstrzymywał.

Poszedł za prośbą księżę, czując, że nadchodzi chwila, w której ostatecznie przyjdzie los własny i żony rozstrzygnąć, ale właśnie w takiej chwili najsroższą męką stała się ostrożność poradzona przez Mestwina. Ciężej mu było teraz wstrzymać westchnienie, niż kiedyś jęki przez najwyższe bole wydzierane, krótka droga bardziej go zmęczyła niż podróż nieraz odbywana w żelaznej zbroi, wśród odludnych piasków i skwaru letniego słońca.

Kaplica wznosiła się pomiędzy krza-

ków i murów poczęści już rozpadłych. Szczyt jej nie wysoko sięgał ponad ziemię, a powoje i bluszcze wiąc się po nim zastępowały odpadłe od sklepienia części. Właśnie ze strony zbliżającego się Zbigniewa było małe okienko opatrzone żelazną kratą, w niem migały się mdłej światłości promienie od gorejącej wewnątrz lampy, zasłanianej czasami ciałem, które w długim i łamanym cieniu, odbijało się na zewnętrznych gruzach i nierównym w tem miejscu ziemi. Ten cień niewyraźny zniknął i wracał co chwila, a zdało się jednak Zbigniewowi, że poznał w nim zbroję i rysy Mieczysława. Zimny mróz serce jego przeszły, piekielna radość napelniła duszę Mestwina. Podsunął się bliżej. Zbigniew stał schylony pod oknem, wahał się powstać, nie wiedział co czynić, bierał wszystkie siły, natężył wolę, a jednak nie mógł zmienić położenia. Na reszcie wsparł go Mestwin swoją ręką, a wtenczas nagle podniósł się księżę. Chciwy wzrok zrzucił wewnątrz kaplicy, gdzie ujął niewiastę niezrównanej piękności, i klęczącego u jej kolan mężczyznę. Ta niewiastą była Hanna, tym mężczyzną syn Bolesława Śmiałego. Księżę ani słowa nie wyrzekł, ale wydarł sztylet z pasa Mestwina i rzucił go do góry.

Mestwin widząc jego zamiśl, rękę mu silnie zatrzymał i odprowadziwszy na bok, cichym zapytał głosem:

— Czy wiesz co to zemsta, księżę? Zbigniew obłąkanym spojrzał na towarzysza zrokiem.

— Czy nie wolisz — rzekł rycerz — kroplami wysączać nad nimi pułkar goryczy niż go wylać odrazu? czy nie wolisz długo patrzeć na drgające ich członki, i nasycać się widokiem stopniwanej śmierci, której bole co chwila wzrastają, niż nagłym zgonem zdrajców obdarzyć i w krwi niegodnej szlachetną zmasać prawicę?

Okropna bladeść rozlała się po licach Zbigniewa.

— Już widziałeś — dodał Mestwin — zbrodnię. Teraz nad karą pomyślimy.

Po tych słowach odlewającego pana zawiódł daleko od kaplicy, i wyszedłszy między kilka drzew wyniosłych, dozwolił mu usiąść na kamieniu i stracone zebrać myśli. Wkrótce potem zerwał się nagle księżę i podnosząc rękę ku niebu, zawołał:

— Przysięgam, jej śmierci i śmierci jego. Niewiasta zdrażająca męża nie znajdzie litości i u ciebie, o Boże!.. Kara twoja nigdyby jej nie ominęła.. Dozwól więc Panie świata, bym ją sam przyspieszył.. Mestwinie! — dodał — teraz już jestem spokojny.. wszak już nie mam żony.. wszak sam na świecie zostałem.. ale wskaż mi obiecaną zemstę, bo jeśli nie potrafisz tego, nic cię od śmierci nie ocali.

— Księżę i panie mój, pomówimy o tem w twojej komnacie. Tymczasem wracajmy do zamku.

Poszli oba, a wkrótce czarne mury im się ukazały wśród ciemności. Wtenczas Mestwin prosił księcia by mu naprzód pójść pozwolił.

— Chcę — rzekł — odmierzyć sprawiedliwość żołnierzowi tak dobrze strzegącemu twoich murów, że dwie niewiasty mogą z nich o każdej porze wychodzić.

— Jak chcesz — odparł zimno księżę.

Mestwin przyspieszył kroku i zawołał na Gierdę. Wszedł dzięki żołnierz, i ostatnim ukłonem przywitał przyszłego mordercę. Skinął nań rycerz i na sam brzeg Wisły zaprowadził, wskazując potem przeciwną stronę.

— Czy widzisz — rzekł — ten ogień? Obrócił się Gierda i darmo śledził oczyma płomień, o którym mówił Mestwin.

— Niema żadnego ognia.

— Patrz dobrze a ujrzysz — odparł rycerz, i wzniosłszy sztylet morderczy do góry z całemi siłami zanurzył go w płeć Gierdy — a ujrzysz ogień piekła — dodał z szyderskim uśmiechem.

Runął olbrzymi Gierda na ziemię, lecz cała jego wściekłość ozwała się jeszcze w ostatniem skonaniu. Zrzucił szyszak i tocząc się po piasku, doczołgał się do stóp rycerza i wspierając się jedną ręką

o brzeg spadzisty, drugą objął rycerza i ścisnął go uściskiem umierającego wroga. Uczuł rycerz zatrzymanym w łonie oddech i słyszał pękające na piersiach żelazo. Nie tracąc więc czasu drugi cios zadał, a wtenczas opadł Gierda i jeszcze dosyć miał siły do wyrwania sztyletu z szerokiej rany; trącił go zbrojną nogą rycerz z Wilderthalu, dopełniając powtórnego w tem samym miejscu zabójstwa. Przybywający Zbigniew usłyszał już tylko jęk pomieszany z szumem fali ciała unoszących.

— Gdyby nie twoje namowy, i Mieczysław jużby tak zginął — zawołał księżę.

— I jednego tylko cierpienia doznał — odparł Mestwin — kiedy ich tysiące doznać może.

— Spieszmy się więc, spieszmy — krzyknął Zbigniew — każda chwila zwlekająca jego zagubę jest nową dla mnie śmiercią.

— Dam ci moje rady — rzekł rycerz — ale przysięż że pójdziesz za nimi, i że niewieścia czułość nie splami dzielnego serca. Mieczysław i Hanna zginą, przysięż, że nie odmienisz rzuconego na nich wyroku.

Nie wahał się księżę i piorunnym głosem zawołał:

— Niech moja dusza marnie z tem ciałem zginie, i nie dozna obiecaną nieśmiertelności, niech każdy dzień mego życia dzisiejszemu się podobnym stanie, jeśli choć jednym słowem, choć tajemną chęcią, odwołam śmierć Mieczysława i tej która niegdyś moją nazywała się żoną.

— Dobrze — rzekł Mestwin — poznaję Zbigniewa.

I wszedł z księciem do zamku.

Dostawszy się do swojej komnaty usiadł, księżę na krześle i obtarł twarz deszczem i potem okrytą. Dopóki go niepewność dręczyła, dopóty był najniebezpiecznym z ludzi, prawda choć tak sroga zupełnie odkryta, wróciła mu spokojność, lecz tylko pozorną. Chciał wzmocnić sam w siebie, że nie dba o tę, która go zdradziła, pogardza Hanną, ale właśnie pragnienie zemsty pożerające jego duszę doprowadziło, że nieograniczona miłość zamieniła się na nieograniczoną nienawiść, że wielkie serce w najczulszych zwiedzone nadziejach szukało ulgi w drugiej ostateczności, a jednak i w zemście samej pozostały ślady miłości. Jeszcze na wspomnienie corki Wszebora rozdarte serce żywiej biło, z tem wszystkim postanowił Zbigniew przygnieść namiętność siłą woli, wyrugować ostatki przywiązania ciąglem o zemście przemyśliwaniem, lecz trzeba było całej jego dzielności, na ukrycie pod barwą surowej powagi i zimnej spokojności, żaru w piersiach tlejącego.

— Mów — rzekł do Mestwina — i pamiętaj żebyś dogodził moim żądaniom. Wynajdź czegoby szatan wynaleźć nie potrafił.

— Jeśli skutecznie taki rozkaz, — odparł żartobliwie Mestwin — to duch ciemności powinien zejść z swego tronu i własnego mi miejsca ustąpić.

— Mów — powtórzył Zbigniew.

— Chcesz, panie, okropnej zemsty. — rzekł rycerz — a więc posłuchaj, a jeśli nie zadrzysz, powiem, że nas wspólnie piekło wydało. Hanna kocha Mieczysława, niech więc zginą powolnym skonaniem obok siebie, i niech jęki córki Wszebora potęczą się z jękami syka Bolesława Abraham z Hamburga dostarczy mi trucizny, zastawimy w wielkiej sali biesiadę, obładujemy stoły srebrem i złotem, i puławy śmierci uwińczym różami rozkoszy. Wyszlij jutro Krystyna z Mortoga do Mieczysława, oświadczyć, że chcesz pokój zawrzeć, przyjm go wraz z innymi panami w swoje podwoje, wiem, że przybiegnie rozkochany młodzieniec, przyprowadzi z sobą Sieciecha, Skarbimira, Wszebora. Wszebora osobliwie, mój panie i księżę. Czy czujesz jak miło będzie córce umierać przy ojcu? czy rozumiesz ten nowy rodzaj zemsty? Zasiądą do stołu, Mieczysław i jego kochanka wypiją truciznę... dalszy opis twoje oczy zastąpią.

Zadrzał Zbigniew i zbladł na chwilę,

lecz potem powstał i przycisnął do piersi zbrodniarza.

— Dobrze. — zawołał — niech Mestwin pomści Zbigniewa, niech piekło od bierze piękność godną nieba, przyjmując, przystając, poszlesz jutro Krystyna.

Zamknij tu książkę, ale później miotając wzrokiem na wszystkie strony, całemi piersiami zawołał:

— Gromadźcie się duchy zbrodni, uwieńczone moje i mojego powiernika skrocie. Wyzywam was do walki, odpowiedź szatanie, odpowiedź, czybys zdołał powziąć taki zamiar lub przystać na podany sobie. Nie, nigdybys takiej nie czuł, nie pomyślał zemsty, boś nigdy nie czuł takiej jak ja miłości. Rumieńcie się od wstydu duchy czarnych przepaści, śmiertelny człowiek wziął górę nad waszą nieśmiertelną złością, namiętność w łonie syna ziemi zrodzona, przezwytyczyła wszystkie wasze uniesienia i zapędy. Jeszcze raz dzięki ci, Mestwinie! pamiętaj wykonać coś powiedziały, niech cię żadne wyrzuty nie wstrzymają.

— Wyrzuty, książę i panie mój — odparł rycerz — nie rozumiem tego słowa i nigdy go nie zrozumiałem.

— Aż kiedy prawica Boska zacięży nad tobą — rzekł ponuro Zbigniew.

Mestwin uśmiechem odpowiedział i pożegnawszy pana odszedł do siebie.

Wróćmy teraz do nadobnej Hanny i szlachetnego Mieczysława, który u jej nóg rzekł się najpiękniejszych w życiu nadziei.

Księżna zostawiwszy Ulrycha, kończyła z Katarzyną swą drogę, doszedłszy starożytnego budynku, z bijącym sercem weszła do sieni podpartej dwoma kamiennymi słupami, i następnie do samej kaplicy, w której wiecznie paliła się lampa nad małym ołtarzem, okrytym wieńcami przynoszonymi przez okolicznych mieszkańców. Nie zastała jeszcze nikogo, klękła więc przed krzyżem z dębu czarnego i ponowiła modlitwę. Ledwo wstała z kamiennych stopni ołtarza, alisci szybkie kroki słyszeć się daly. Wszedł po chwili człowiek palający miłością, i rzucił się do nóg dawno niewidzianej kobiety, która przyjaźnią tylko i szcunkiem mogła odpowiadać na jego uczucia.

Była to krótka, ale najpiękniejsza chwila w życiu Mieczysława. Schyłony klęczał u stóp anioła, ciągle jego wyobraźni przytomnego, widział kochankę lat młodych wróconą sobie, w jego mniemaniu nadszedł czas oswobodzenia oblubienicy i wyrwania jej z rąk nienawidzonego wroga.

— Hanno! droga Hanno! — zawołał — błogostawny niebu, że nam widzieć się dozwoliło, że uwolniło cię od srogiego ciemiężcy — i to mówiąc, ścisnął rękę księżnej, i drżące usta przybliżył do różanych liców.

— Książę Mieczysławie — rzekła Hanna.

— Cóż znaczy — przerwał młodzieniec — tak zimne słowo? Czyż ja księciem jestem dla ciebie? Czyż godności ludzkie jeszcze mogą znaleźć miejsce w twojej pamięci? Czyż twoje serce, Hanno, zna mnie tylko księciem? Widzę, żeś się przyzwyczaiła tak nazywać mojego wroga, że dumny syn Władysława przymusza cię do nawiązania czułego, nie nieznaczącego nazwiska; ale też bądź pewną, że straszna kara nie ominie Zbigniewa, że ta ręka wprzody w zimnym grobie skościeje nim opuści miecz wzniesiony na głowę tego, który tak długo drogą kochankę poniżał.

— Książę Mieczysławie, — powtórzyła Hanna, a Mieczysław Zbladł — nie miotaj groźb na własnego brata i na męża stojącej przed tobą niewiasty.

— Mężał? — krzyknął syn Bolesława — męża? mów lepiej wydzierce, zabójcę, zbrodniarza, uciemiężcy.

— Książę, — z powagą ozwała się Hanna — ręczę ci, że Zbigniew jest moim mężem i że moje serce nigdy dla innego miłości nie znole. Szacuję cię, Mieczysławie. uwielbiam twoją szlachetność i właśnie dlatego, że na nią rachowała, przybyłam tutaj widzieć się z synem bohatera, i zobaczyć czy zdoła podbić własną namiętność, zakończyć niegodne z bratem i ziomkami walki, i wrócić szczęście tej którą kiedyś kochał.

— Kiedyś? — zawołał Mieczysław — zawsze, ciągle, wiecznie cię kochać będę lecz tyś mnie nigdy nie kochała.

Skinęła Hanna na Katarzynę, a córka Gierdy wyszła do sieni, gdzie zastała ry-

cerza zbrojnego, a chwilę potem przycisnął ją do piersi Henryk z Kaniowa.

Zbliżyła się wtenczas Hanna do Mieczysława i spojrzała nań wszystkich podbijającym wzrokiem.

— Proszę cię Mieczysławie, ale prawda, nie mam prawa o nic prosić.

— Rozkaż pani, — zawołał młodzieniec — ale może chciałaś mnie doświadczyć, powiedz, może Zbigniew nie jest twoim mężem?

— Wierzę przysięgam mu miłość, a sługa Boży pobłogosławił tej świętej przysiędze.

— Żegnaj cię więc, młodości, — za wołał Mieczysław — żegnaj cię, ziemio. Bo cóż mnie tu zatrzyma, co zwróci moje oczy na tym świecie, kiedyś znikła z mojej drogi? Jakaż myśl osłodzi tęsknoty i cierpienia? Przez całe życie zmierziałem do jednego celu, darłem się na skały gdzie kwitła róża, przebyłem przepaści, przeskoczyłem otchłanie, a różę zerwał kto inny i nadzieja w przekwitłem sercu umarła.

— Nie, — przerwała rozczulona Hanna — nie sprawdzą się twoje słowa, prze minie chwila smutku, znajdziesz godniejszą miłości, piękniejszą ode mnie kochankę, połączysz los swój z losem niemniej kochającej dziewczicy.

— Pani, — rzekł smutny młodzieniec — nie wskazuj mi szczęścia, każdy twój wyraz pomnaża moje męczarnie. O wielki Boże! czym mógł spodziewać się kiedy, że ta, którą tak kochał, przywita długo niewidzianego zimnym słowem, nie odpowie uczuciom niczem we mnie niezatartym, że odrzuci kochankę i poważną radą zaleci spokojność sercu, którego życiem dotąd jej wspomnienie było. Lecz mów, książę, rozkaż a wypełnię.

— Otrzyj więc szablę z krwi bratniej, odstaw od zamku mojego męża, wy pełń tę pierwszą i ostatnią prośbę moją. Czuję, że nie mam prawa niczego wymagać od ciebie, że odrzućmy twoje uczucia, powinnabym lękać się twoich wyrzutów, ale Mieczysławie — tklivym dodała głosem — bądź pewny, że wdzięczność, że słodsze nawet od obowiązków wdzięczności uczucie, powstanie w mojej duszy dla ciebie, że widząc cię tak szlachetnym i cnotliwym, uznaję, że gdyby nie było Zbigniewa na świecie, tobym Mieczysława kochała.

— Pierwszy raz słyszę z ust twoich to słowo połączone z moim imieniem — rzekł książę — i dla tej chwili wszystkie poświęcam niechęci, na twój rozkaz przytłumię gniew i zemstę. Pan! już zamek twojego męża świętym się dla mnie staje bo ty w nim dobrowolnie przebywałeś. Wszystko mi już niemiłym oprócz na dziei ostatniej na tym świecie, że kiedy wspomnisz o Mieczysławie, to stanie ci w pamięci poświęcenie rzadkie między ludźmi, i że bez niechęci lub zawiści ustyszysz imię człowieka, którego na miejscu młodej oblubienicy zimny grób oczekuje, bo nie spodziewam się, Hanno, by zwiędła dusza mogła długo ożywiać te piersi. Wkrótce usłyszysz załobne pienia, a jeśli wtenczas iza zrosi twoje powieki, wierzaj mi ulubiona, że ta iza stanie mi za długie życie żadną nieumilone nadzieją. Jutro ujrzysz z wień swojego zamku rozchodzące się wojska, upadające namioty; życzę ci szczęścia, błogich chwil młodości życzę ci szczęścia ze... Zbig..

Lecz tu ścisnęły mu się usta i język wymówić nie mógł imienia, którem brzydziło się serce, uklonił się księżnie i postąpił ku drzwiom, ale wzrok Hanny odwołał go jeszcze.

— Nie, książę — odparł młodzieniec — nigdy nie łącz tych imion, lepiej nie wspominać o Mieczysławie jeśli nie możesz choć na chwilę zapomnieć o Zbigniewie. Nie żądam bym dłoni przyjazną mu podał, bym się zbliżył do niego. Na takie poświęcenie. Bogiem nie człowiekiem być potrzeba, nie zagoją zadanej mi przez niego rany ani czas, ani uczucia. Pozwól bym szczerze wynurzył uczucia, które aż do ostatniej chwili we mnie pozostaną. Żadna siła ni potęga nie mogłyby mnie wzbronić miłości ku tobie, a nienawiści ku synowi Władysława, nie o bawiaj się jednak szalonych wściekłości zamachów, nie patrz przerażonym wzrokiem na szablę u boku wiszącą, przysięgam, że nigdy nie wydobędę jej na tego którego miłość twoja ochrania. Rozdzielamy się teraz, nasze drogi dotąd, przynajmniej w moich zjednoczone marze-

nach, odwracają się od siebie. Zasiadiesz na księżęcym tronie, pokryjesz boskie czoło purpurą, i zadziwisz świat cały blaskiem niezrównanych wdzięków. Ja rzucam zbroję, zdzieram oznaki dostojęstwa, rzekam się sławy bo jej dzielić nie możesz... Żegnaj cię, książę — I znów chciał odejść, ale wyższa nad stałe przedsięwzięcie siła, zatrzymała kroki i zgięła kolana przed stopami obóstrwanej istoty... Ostatni raz przemawiam dawną mową do ciebie.. i uchwyćmy kraj śnieżnej szaty córki Wszehora, do ust go przycisnął. — Ulubiona Hanno! ostatni raz żegnaj cię na tym świecie.

To mówiąc wznosił oczy do nieba, ale jak gdyby okropnem rażony odkryciem, spuścił je zaraz nadół.

— Żegnaj cię — dodał na wieki, już i w niebie nie zbliżę się do ciebie, boś mnie nigdy nie kochała na ziemi.

— A mój ojciec, drogi mój ojciec — zawołała Hanna, ale nie słyszał już tych słów Mieczysława, bo jak tylko skończył mówić, porwał się i wyleciał z kaplicy.

— O Boże! zeszlj pociechę na tak szlachetne serce — rzekła księżna cichym głosem, łzami nadobną twarz oblewając.

Weszła wtenczas z radością w oczach Katarzyna, po długiej z lubym rozmowie i przypomniała zadumanej księżnie, że czas wracać do zamku.

Czekał już u bramy Ulrych. Córka Gierdy darmo starała się wespół do ciemności rozoznać poległego już ojca. Ze zwykłą usłużnością zaprowadził giermek księżnę do jej komnat a ostaini raz na ziemi sen nawiedził powieki Hanny z Ciechanowa.

ROZDZIAŁ XXIV.

Okiełznaj rumaka i biegnij w zawody,
I żwawo Kraigdala zapraszaj na gody.
Ballada Szkoeka.

— Jeszcze słońce nie wydobyciło się z ciemnych chmur wschodnią część nieba pokrywających, kiedy Ulrych wpadł do komnaty Mestwina i pana śpiącego obudzii.

— Rycerzu odstępują nieprzyjaciele, cofają się tłumnie, z murów sam widziałem jak ich orszaki do miasta wracają, zwijają namioty, zasypują rowy, rozrzucają waly.

— Natychmiast zawołaj do mnie Krystyna z Mortoga — krzyknął Mestwin i wyskoczył z łoża.

Wyszedł Ulrych, a tymczasem zarzucił suknię na siebie rycerz i lekką wdział koczując. Niedługo czekał na Krystynę, bo wkrótce potem ukazał się rycerz z Mortoga w zupełnej zbroi. Mestwin prosił by usiadł, i kazawszy się oddalić giermkowi, tak przemówił:

— Z woli najjaśniejszego Zbigniewa księcia i pana naszego, udasz się, rycerzu, do księcia Mieczysława i zaprosisz go z wszystkimi panami na biesiadę, którą wyprawia nasz książę dla uświęcenia pokoju.

— Pokoju — zdumiony powtórzył Krystyn — a do dyabła, to coś nowego! Co już nie będzie wojny? To muszę się wybierać z tego zamku. Czy nie słyszałeś o jakim obłędzie, o jakiej kłótni w Polsce? bobym zaraz tam pospieszył.

— Teraz spiesz wykonać księcia rozkazy.

— Nigdy jeszcze z pokojem i zgodą na ustach przed wrogiem się nie stawił. Nieznane mi to rzemiosło, dla nauki każ mi dać puhar, rozumie się do brego i starego węgryna.

Sam Mestwin nalał mu ogromną czarę, po jej kilkakrotnem wychyleniu wyszedł Krystyn i przypasawszy pałasz na Prusakach zdobyty, puścił się w drogę.

Niemalę się zdziwił kiedy go nikt u wejścia do obozu nie zprzymiał. Żołnierze nie spozierając nawet na niego, zwiali namioty i zbierali sprzęty. Węły rozsypane. napół zarzucone rowy i leżące wszędzie oręże i ubiory dziwny przedstawiły widok. Zdawało się jak gdyby nieprzyjaciel szybkim napadem rozbił trwożliwe orszaki i rozrucił zbywającą zdo bycz, przeszedł więc rycerz pomiędzy zatrudnionymi tłumami, nieo łpowiadającami na jego zapytania, ile razy chciał się dowiedzieć o namiocie księcia Mieczysława.

(Ciąg dalszy nastąpi)

W lesie.

Po zachodzie, gdy słońce poszło zażyć wczasu,
Gawędę wiodły z sobą drzewa pośród lasu,
Pochylały konary zielone powoli,
Cichym szelestem liści gwarząc o swej doli.

„Wiesz co, dębie sędziwy — rzekła młoda brzoźka,

Gdy wietrzyk pocałunkiem jej gałęzie muska:
Znudziło mnie to życie jednostajne, szare,
Zawsze w tem samym miejscu, jak gdyby za karą.

Dosyć już siedzieć w cieniu i wiecznej wilgoci,
W towarzystwie mchów, grzybów i smutnych paproci,

Nie mając przyjemności i wygod jak trzeba
I nie widząc nad sobą ni słońca, ni nieba,
Dosyć już znosić ciągle pluchoty i deszcze,
Nawet w maju, gdy nuca słowiki i wieszcze;
Chłodnym wiatrom wędrownym wciąż służyć za opór

I czekać, aż nas zetnie spekulanta topór...
Nie!... dłużej się nie będzie wlec doła zaosna!...

Emigruję do kraju gdzie jest wieczna wiosna,
Gdzie palmy, róże rosną tak, jak u nas osty
I bluszcz pnie się dokoła — jak tu powój prosty.
O!... tam się stokroć lepiej wszystkim drzewom dzieje,

Tam niebo błękitniejsze, słońce cieplej grzeje;
Tam wszystko szczęściem dys-y, jest szczęścia obrazem...

Wiesz co, dębie sędziwy? — emigrujmy razem!
„Ha, dobrzeby to było — daj powiedział na to,
Potrząsając poważnie głową rosochatą —

Chociaż na mojem ciele pleśń wieków zakrzepła,
I ja tęsknię czasami do słońca i ciepła.

Z resztą, powiem ci prawdę: trwam trochę w uludzie.

Że tamby na mnie słuszniej poznali się ludzie
I zołędzio do lepszych doszłyby położę,
Niżli służyć za pokarm dla najbrzydszych stworzeń.

Lecz myślę — czy rodzinne opuściwszy niwy,
Pośród cudzego szczęścia sam byłbym szczęśliwy?

Czyby mi nie zbrzydł wreszcie słońca promień złoty,
I czy zamiast tam kwitnąć nie zwiadłbym z tęsknoty?

Nie, brzozo... jedź ty sama w te kraje nieznanne,

Szukaj szczęścia po świecie ja tutaj zostanę;
Będę walczył z wichrami i wytrwam do końca,
Nie chcę cudzych błękitów i cudzego słońca.
Będę dalej, jak teraz, poranna pił rosę,
Tu, gdzie się urodziłem — tu i śmierć poniosę.
Gdzie spią buki zgrzybiałe i gdzie sosny drzemią,

Zostanę.*

„A to czemu?“

„Zrosłem się z tą ziemią.“

ZIEMIE POLSKIE

Zabór Rosyjski.

— o —

Długowieczność.

Pod Warszawą w jednym z miasteczek, mieszka stara kobieta, przekupka, licząca lat 106. Córka jej ma 80. Stara kobiecina wstaje codziennie o godzinie 5. rano, kupuje włoszczyznę i sprzedaje ją następnie na rynku, z czego też żyje. Jalmużny w żaden sposób przyjmować nie chce, gdyż, jak mówi, wyżywić się musi jeno z pracy rzetelnej, dopóki siły ku temu sprzyjają.

Postrzelenie dziecka.

Z Lublina donoszą: Policjant postrzelił na jednej z ulic Lublina kilkuletniego chłopca, kulek bez ręki, który skradłszy kilka jabłek uciekał, nie zważając na wołanie „stój!“ Policjant strzelił do niego dwa razy z odległości 6 kroków.

Ohydna zbrodnia.

Onegdaj zawiadomiono w Warszawie wydział śledczy o zniknięciu 4 i pół letniej dziewczynki, Izabeli Wallersztejn, córki właściciela drukarni, która, bawiąc się przed domem, została — jak opowiadali sąsiedzi — porwana przez cyganów.

Przez cały wieczór czyniono były energiczne poszukiwania, które jednak nie daly żadnego rezultatu. Na drugi dzień od rana wznowiono poszukiwania pod kierunkiem p. Kurnatowskiego. Tym razem daly one požądane wyniki, gdyż około godz 11, rano na strychu domu Nr 14 przy ul. Rymarskiej znaleziono zastygłe zwłoki Wallersztejnówny, lekarze zaś stwierdzili na ciele oznaki zgwałcenia.

Podjejrzenia padły na pracującego w pobliskim składzie aptecznym, chłopca, Adama Fijewskiego który od dawna już często przebywał z Wallersztejnówną, ofiarując jej cukierki lub inne lakoce. Onegdaj wieczorem F. zamianł najwidoczniej biedne dziecko na strych, w zamiarze dokonania na niej ohydnej zbrodni gwałtu. Rozdrażniony zaś przeraźliwymi krzykami dziecka, chwycił je za gardło i, jak sam zeznał w śledztwie, udusił. Pragnąc zmylić ślady zbrodni, Fijewski powyrzywał kilkanaście cegieł ze ściany, sąsiadującej ze strychem domu Nr. 14 i przez otwór w murze przeniósł zwłoki dziecka. Tem się więc tłumaczy odnalezienie trupa w domu sąsiednim.

Arrestowany Fijewski zrazu nie chciał przyznać się do zbrodni i dawał wymijające odpo-

lecz potem powstał i przycisnął do piersi zbrodniarza.

— Dobrze. — zawołał — niech Mestwin pomści Zbigniewa, niech piekło od bierze piękność godną nieba, przyjmując, przystając, poszlesz jutro Krystyna.

Zamknij tu książkę, ale później miotając wzrokiem na wszystkie strony, całemi piersiami zawołał:

— Gromadźcie się duchy zbrodni, uwieńczone moje i mojego powiernika skrocie. Wyzywam was do walki, odpowiedź szatanie, odpowiedź, czybys zdołał powziąć taki zamiar lub przystać na podany sobie. Nie, nigdybys takiej nie czuł, nie pomyślał zemsty, boś nigdy nie czuł takiej jak ja miłości. Rumieńcie się od wstydu duchy czarnych przepaści, śmiertelny człowiek wziął górę nad waszą nieśmiertelną złością, namiętność w łonie syna ziemi zrodzona, przezwytyczyła wszystkie wasze uniesienia i zapędy. Jeszcze raz dzięki ci, Mestwinie! pamiętaj wykonać coś powiedziały, niech cię żadne wyrzuty nie wstrzymają.

— Wyrzuty, książę i panie mój — odparł rycerz — nie rozumiem tego słowa i nigdy go nie zrozumiałem.

— Aż kiedy prawica Boska zacięży nad tobą — rzekł ponuro Zbigniew.

Mestwin uśmiechem odpowiedział i pożegnawszy pana odszedł do siebie.

Wróćmy teraz do nadobnej Hanny i szlachetnego Mieczysława, który u jej nóg rzekł się najpiękniejszych w życiu nadziei.

Księżna zostawiwszy Ulrycha, kończyła z Katarzyną swą drogę, doszedłszy starożytnego budynku, z bijącym sercem weszła do sieni podpartej dwoma kamiennymi słupami, i następnie do samej kaplicy, w której wiecznie paliła się lampa nad małym ołtarzem, okrytym wieńcami przynoszonymi przez okolicznych mieszkańców. Nie zastała jeszcze nikogo, klękła więc przed krzyżem z dębu czarnego i ponowiła modlitwę. Ledwo wstała z kamiennych stopni ołtarza, alisci szybkie kroki słyszeć się daly. Wszedł po chwili człowiek palający miłością, i rzucił się do nóg dawno niewidzianej kobiety, która przyjaźnią tylko i szcunkiem mogła odpowiadać na jego uczucia.

Była to krótka, ale najpiękniejsza chwila w życiu Mieczysława. Schyłony klęczał u stóp anioła, ciągle jego wyobraźni przytomnego, widział kochankę lat młodych wróconą sobie, w jego mniemaniu nadszedł czas oswobodzenia oblubienicy i wyrwania jej z rąk nienawidzonego wroga.

— Hanno! droga Hanno! — zawołał — błogostawny niebu, że nam widzieć się dozwoliło, że uwolniło cię od srogiego ciemiężcy — i to mówiąc, ścisnął rękę księżnej, i drżące usta przybliżył do różanych liców.

— Książę Mieczysławie — rzekła Hanna.

— Cóż znaczy — przerwał młodzieniec — tak zimne słowo? Czyż ja księciem jestem dla ciebie? Czyż godności ludzkie jeszcze mogą znaleźć miejsce w twojej pamięci? Czyż twoje serce, Hanno, zna mnie tylko księciem? Widzę, żeś się przyzwyczaiła tak nazywać mojego wroga, że dumny syn Władysława przymusza cię do nawiązania czułego, nie nieznaczącego nazwiska; ale też bądź pewną, że straszna kara nie ominie Zbigniewa, że ta ręka wprzody w zimnym grobie skończyła nim opuści miecz wzniesiony na głowę tego, który tak długo drogą kochankę poniżał.

— Książę Mieczysławie, — powtórzyła Hanna, a Mieczysław Zbladł — nie miotaj groźb na własnego brata i na męża stojącej przed tobą niewiasty.

— Mężał? — krzyknął syn Bolesława — męża? mów lepiej wydziercę, zabójcę, zbrodniarza, uciemiężcy.

— Książę, — z powagą ozwała się Hanna — ręczę ci, że Zbigniew jest moim mężem i że moje serce nigdy dla innego miłości nie znalo. Szacuję cię, Mieczysławie. uwielbiam twoją szlachetność i właśnie dlatego, że na nią rachowała, przybyłam tutaj widzieć się z synem bohatera, i zobaczyć czy zdoła podbić własną namiętność, zakończyć niegodne z bratem i ziomkami walki, i wrócić szczęście tej którą kiedyś kochał.

— Kiedyś? — zawołał Mieczysław — zawsze, ciągle, wiecznie cię kochać będę lecz tyś mnie nigdy nie kochała.

Skinęła Hanna na Katarzynę, a córka Gierdy wyszła do sieni, gdzie zastała ry-

cerza zbrojnego, a chwilę potem przycisnął ją do piersi Henryk z Kaniowa.

Zbliżyła się wtenczas Hanna do Mieczysława i spojrzała nań wszystkich podbijającym wzrokiem.

— Proszę cię Mieczysławie, ale prawda, nie mam prawa o nic prosić.

— Rozkaż pani, — zawołał młodzieniec — ale może chciałaś mnie doświadczyć, powiedz, może Zbigniew nie jest twoim mężem?

— Wierzę przysięgam mu miłość, a sługa Boży pobłogosławił tej świętej przysiędze.

— Żegnaj cię więc, młodości, — za wołał Mieczysław — żegnaj cię, ziemio. Bo cóż mnie tu zatrzyma, co zwróci moje oczy na tym świecie, kiedyś znikła z mojej drogi? Jakaż myśl osłodzi tęsknoty i cierpienia? Przez całe życie zmierziałem do jednego celu, darłem się na skały gdzie kwitła róża, przebyłem przepaści, przeskoczyłem otchłanie, a różę zerwał kto inny i nadzieja w przekwitłem sercu umarła.

— Nie, — przerwała rozczulona Hanna — nie sprawdzą się twoje słowa, prze minie chwila smutku, znajdziesz godniejszą miłości, piękniejszą ode mnie kochankę, połączysz los swój z losem niemniej kochającej dziewczicy.

— Pani, — rzekł smutny młodzieniec — nie wskazuj mi szczęścia, każdy twój wyraz pomnaża moje męczarnie. O wielki Boże! czym mógł spodziewać się kiedy, że ta, którą tak kochał, przywita długo niewidzianego zimnym słowem, nie odpowie uczuciom nieczem we mnie niezatartym, że odrzuci kochankę i poważną radą zaleci spokojność sercu, którego życiem dotąd jej wspomnienie było. Lecz mów, książę, rozkaż a wypełnię.

— Otrzyj więc szablę z krwi bratniej, odstaw od zamku mojego męża, wy pełń tę pierwszą i ostatnią prośbę moją. Czuję, że nie mam prawa niczego wymagać od ciebie, że odrzućmy twoje uczucia, powinnabym lękać się twoich wyrzutów, ale Mieczysławie — tkliwym dodała głosem — bądź pewny, że wdzięczność, że słodsze nawet od obowiązków wdzięczności uczucie, powstanie w mojej duszy dla ciebie, że widząc cię tak szlachetnym i cnotliwym, uznam, że gdyby nie było Zbigniewa na świecie, tobym Mieczysława kochała.

— Pierwszy raz słyszę z ust twoich to słowo połączone z moim imieniem — rzekł książę — i dla tej chwili wszystkie poświęcam niechęci, na twój rozkaz przytłumię gniew i zemstę. Pan! już zamek twojego męża świętym się dla mnie staje bo ty w nim dobrowolnie przebywałeś. Wszystko mi już niemiłym oprócz na dziei ostatniej na tym świecie, że kiedy wspomnisz o Mieczysławie, to stanie ci w pamięci poświęcenie rzadkie między ludźmi, i że bez niechęci lub zawiści ustyszysz imię człowieka, którego na miejscu młodej oblubienicy zimny grób oczekuje, bo nie spodziewam się, Hanno, by zwiędła dusza mogła długo ożywiać te piersi. Wkrótce usłyszysz załobne pienia, a jeśli wtenczas iza zrosi twoje powieki, wierzaj mi ulubiona, że ta iza stanie mi za długie życie żadną nieumilone nadzieją. Jutro ujrzysz z wień swojego zamku rozchodzące się wojska, upadające namioty; życzę ci szczęścia, błogich chwil młodości życzę ci szczęścia ze... Zbig..

Lecz tu ścisnęły mu się usta i język wymówić nie mógł imienia, którem brzdziło się serce, uklonił się księżnie i postąpił ku drzwiom, ale wzrok Hanny odwołał go jeszcze.

— Nie, książę — odparł młodzieniec — nigdy nie łącz tych imion, lepiej nie wspominać o Mieczysławie jeśli nie możesz choć na chwilę zapomnieć o Zbigniewie. Nie żądam bym dłoni przyjaźni mu podał, bym się zbliżył do niego. Na takie poświęcenie. Bogiem nie człowiekiem być potrzeba, nie zagoją zadanej mi przez niego rany ani czas, ani uczucia. Pozwól bym szczerze wynurzył uczucia, które aż do ostatniej chwili we mnie pozostaną. Żadna siła ni potęga nie mogłyby mnie wzbronić miłości ku tobie, a nienawiści ku synowi Władysława, nie o bawiaj się jednak szalonych wściekłości zamachów, nie patrz przerażonym wzrokiem na szablę u boku wiszącą, przysięgam, że nigdy nie wydobędę jej na tego którego miłość twoja ochrania. Rozdzielamy się teraz, nasze drogi dotąd, przynajmniej w moich zjednoczone marze-

niach, odwracają się od siebie. Zasiadiesz na księżęcym tronie, pokryjesz boskie czoło purpurą, i zadziwisz świat cały blaskiem niezrównanych wdzięków. Ja rzucam zbroję, zdzieram oznaki dostojęstwa, rzekam się sławy bo jej dzielić nie możesz... Żegnaj cię, książę — I znów chciał odejść, ale wyższa nad stałe przedsięwzięcie siła, zatrzymała kroki i zgięła kolana przed stopami obóstwianej istoty... Ostatni raz przemawiam dawną mową do ciebie.. i uchwyćmy kraj śnieżnej szaty córki Wszehora, do ust go przycisnął. — Ulubiona Hanno! ostatni raz żegnaj cię na tym świecie.

To mówiąc wznosił oczy do nieba, ale jak gdyby okropnem rażony odkryciem, spuścił je zaraz nadół.

— Żegnaj cię — dodał na wieki, już i w niebie nie zbliżę się do ciebie, boś mnie nigdy nie kochała na ziemi.

— A mój ojciec, drogi mój ojciec — zawołała Hanna, ale nie słyszał już tych słów Mieczysława, bo jak tylko skończył mówić, porwał się i wyleciał z kaplicy.

— O Boże! zeszlj pociechę na tak szlachetne serce — rzekła księżna cichym głosem, łzami nadobną twarz oblewając.

Weszła wtenczas z radością w oczach Katarzyna, po długiej z lubym rozmowie i przypomniała zadumanej księżnie, że czas wracać do zamku.

Czekał już u bramy Ulrych. Córka Gierdy darmo starała się wespół z ciemności rozoznać poległego już ojca. Ze zwykłą usłużnością zaprowadził giermek księżnę do jej komnat a ostaini raz na ziemi sen nawiedził powieki Hanny z Ciechanowa.

ROZDZIAŁ XXIV.

Okiełznaj rumaka i biegnij w zawody,
I żwawo Kraigdala zapraszaj na gody.
Ballada Szkoeka.

— Jeszcze słońce nie wydobyciło się z ciemnych chmur wschodnią część nieba pokrywających, kiedy Ulrych wpadł do komnaty Mestwina i pana śpiącego obudzii.

— Rycerzu odstępują nieprzyjaciele, cofają się tłumnie, z murów sam widziałem jak ich orszaki do miasta wracają, zwijają namioty, zasypują rowy, rozrzucają waly.

— Natychmiast zawołaj do mnie Krystyna z Mortoga — krzyknął Mestwin i wyskoczył z łoża.

Wyszedł Ulrych, a tymczasem zarzucił suknię na siebie rycerz i lekką wdział koczując. Niedługo czekał na Krystynę, bo wkrótce potem ukazał się rycerz z Mortoga w zupełnej zbroi. Mestwin prosił by usiadł, i kazawszy się oddalić giermkowi, tak przemówił:

— Z woli najjaśniejszego Zbigniewa księcia i pana naszego, udasz się, rycerzu, do księcia Mieczysława i zaprosisz go z wszystkimi panami na biesiadę, którą wyprawia nasz książę dla uświęcenia pokoju.

— Pokoju — zdumiony powtórzył Krystyn — a do dyabła, to coś nowego! Co już nie będzie wojny? To muszę się wybierać z tego zamku. Czy nie słyszałeś o jakim obłędzie, o jakiej kłótni w Polsce? bobym zaraz tam pospieszył.

— Teraz spiesz wykonać księcia rozkazy.

— Nigdy jeszcze z pokojem i zgodą na ustach przed wrogiem się nie stawił. Nieznane mi to rzemiosło, dla nauki każ mi dać puhar, rozumie się do brego i starego węgryna.

Sam Mestwin nalał mu ogromną czarę, po jej kilkakrotnem wychyleniu wyszedł Krystyn i przypasawszy pałasz na Prusakach zdobyty, puścił się w drogę.

Niemalę się zdziwił kiedy go nikt u wejścia do obozu nie zprzymiał. Żołnierze nie spozierając nawet na niego, zwiali namioty i zbierali sprzęty. Węły rozsypane. napół zarzucone rowy i leżące wszędzie oręża i ubiory dziwny przedstawiły widok. Zdawało się jak gdyby nieprzyjaciel szybkim napadem rozbił trwożliwe orszaki i rozrucił zbywającą zdo bycz, przeszedł więc rycerz pomiędzy zatrudnionymi tłumami, nieo lpowiadającami na jego zapytania, ile razy chciał się dowiedzieć o namiocie księcia Mieczysława.

(Ciąg dalszy nastąpi)

W lesie.

Po zachodzie, gdy słońce poszło zażyć wczasu,
Gawędę wiodły z sobą drzewa pośród lasu,
Pochylały konary zielone powoli,
Cichym szelestem liści gwarząc o swej doli.
„Wiesz co, dębnie sędziwy — rzekła młoda
brzoźka,

Gdy wietrzyk pocałunkiem jej gałęzie muska:
Znudziło mnie to życie jednostajne, szare,
Zawsze w tem samym miejscu, jak gdyby za
karą.

Dosyć już siedzieć w cieniu i wiecznej wilgoci,
W towarzystwie mchów, grzybów i smutnych
paproci,

Nie mając przyjemności i wygod jak trzeba
I nie widząc nad sobą ni słońca, ni nieba,
Dosyć już znosić ciągle pluchoty i deszcze,
Nawet w maju, gdy nuca słowiki i wieszcze;
Chłodnym wiatrom wędrownym wciąż służyć za
opór

I czekać, aż nas zetnie spekulanta topór...
Nie!... dłużej się nie będzie wlec doła zaosna!...
Emigruję do kraju gdzie jest wieczna wiosna,
Gdzie palmy, róże rosną tak, jak u nas osty
I bluszcz pnie się dokoła — jak tu powój prosty.
O!... tam się stokrój lepiej wszystkim drzewom
dzieje,

Tam niebo błękitniejsze, słońce cieplej grzeje;
Tam wszystko szczęściem dys-y, jest szczęścia
obrazem...

Wiesz co, dębnie sędziwy? — emigrujmy razem*
„Ha, dobrzeby to było — daj powiedział na to,
Potrząsając poważnie głową rosochatą —
Chociaż na mojem ciele pleśń wieków zakrzepła,
I ja tęsknię czasami do słońca i ciepła.
Z resztą, powiem ci prawdę: trwam trochę w
uludzie.

Że tamby na mnie słuszniej poznali się ludzie
I zółdnie do lepszych doszłyby położę,
Niżli służyć za pokarm dla najbrzydszych stwo-
rzeń.

Lecz myślę — czy rodzinne opuściwszy niwy,
Pośród cudzego szczęścia sam byłbym szczę-
śliwy?

Czyby mi nie zbrzydł wreszcie słońca promień
złoty,
I czy zamiast tam kwitnąć nie zwiadłbym z
tęsknoty?

Nie, brzozo... jedź ty sama w te kraje niezna-
ne,

Szukaj szczęścia po świecie ja tutaj zostanę;
Będę walczył z wichrami i wytrwam do końca,
Nie chcę cudzych błękitów i cudzego słońca.
Będę dalej, jak teraz, poranną pił rosę,
Tu, gdzie się urodziłem — tu i śmierć poniosę.
Gdzie spią buki zgrzybiałe i gdzie sosny drze-
mią,

Zostanę.*

„A to czemu?“

„Zrosłem się z tą zie-
mią“.

ZIEMIE POLSKIE

Zabór Rosyjski.

— o —

Długowieczność.

Pod Warszawą w jednym z miasteczek, mie-
szka stara kobieta, przekupka, licząca lat 106.
Córka jej ma 80. Stara kobiecina wstaje codzien-
nie o godzinie 5. rano, kupuje włoszczyznę i
sprzedaje ją następnie na rynku, z czego też ży-
je. Jalmużny w żaden sposób przyjmować nie
chce, gdyż, jak mówi, wyżywić się musi jeno z
pracy rzetelnej, dopóki siły ku temu sprzyjają.

Postrzelenie dziecka.

Z Lublina donoszą: Policjant postrzelił na
jednej z ulic Lublina kilkuletniego chłopca, ka-
lęką bez ręki, który skradłszy kilka jabłek ucie-
kał, nie zważając na wołanie „stój!“ Policjant
strzelił do niego dwa razy z odległości 6 kroków.

Ohydna zbrodnia.

Onegdaj zawiadomiono w Warszawie wy-
dział śledczy o zniknięciu 4 i pół letniej dzie-
wczynki, Izabeli Wallerszejn, córki właściciela
drukarni, która, bawiąc się przed domem, zo-
stała — jak opowiadali sąsiedzi — porwana przez
cyganów.

Przez cały wieczór czyniono były energiczne
poszukiwania, które jednak nie daly żadnego re-
zultatu. Na drugi dzień od rana wznowiono po-
szukiwania pod kierunkiem p. Kurnatowskiego. Tym razem
daly one pożądane wyniki, gdyż około godz 11,
rano na strychu domu Nr 14 przy ul. Rymar-
skiej znaleziono zastygłe zwłoki Wallerszejnowny,
lekarze zaś stwierdzili na ciele oznaki zgwał-
cenia.

Podjejrzenia padły na pracującego w poblis-
kim składzie aptecznym, chłopca, Adama Fi-
jewskiego który od dawna już często przebywał
z Wallerszejnowną, ofiarując jej cukierki lub
inne lakoce. Onegdaj wieczorem F. zamianł naj-
widoczniej biedne dziecko na strych, w zamiarze
dokonania na niej ohydnej zbrodni gwałtu Roz-
drażniony zaś przeraźliwymi krzykami dziecka,
chwycił je za gardło i, jak sam zeznał w śle-
dztwie, udusił. Pragnąc zmylić ślady zbrodni,
Fijewski powyrzywał kilkanaście cegieł ze ścia-
ny, sąsiadującej za strychem domu Nr. 14 i
przez otwór w murze przeniósł zwłoki dziecka.
Tem się więc tłumaczy odnalezienie trupa w
domu sąsiadnim.

Arrestowany Fijewski zrazu nie chciał przy-
znać się do zbrodni i dawał wymijające odpo-

wiedzi. W końcu jednak, jak już wspomnieliśmy wyżej, zeznał, że jest sprawcą mordu. Wśród okolicznych mieszkańców zbrodnia, będąca wstrząsającym wyrazem zdżyczenia i degeneracji młodego chłopca, wywarła ogromne wrażenie.

100 rabinów przed sądem.

W Brzezinach gub. piotrkowskiej zaszła w e dług opisu gazet żydowskich — „skandaliczna historia z brzezińskim kantorem — rzeźnikiem” związana ze „wstrząsającą tragedią jego żony”. Kantor-rzeźnik, Moszek Szternes mieszkał z żoną 23 lata, miał z nią 16 dzieci, z których żyje 7 w wieku od 21 do 6 lat. Przed trzema laty rzeźnikowi sprzyrzyła się żona i chciał się ożenić z inną, ale żona nie chciała zgodzić się na rozwód, Rozpuścił przeto pogłoskę, że żona zwa ryowała i zaczął się z nią obchodzić jak z waryatką, bijąc ją i zamykając w pokoju. Na za sadzie rzekomego waryactwa rozpoczął stara nia o uzyskanie podpisu 100 rabinów, zezwa lających na ślub z inną kobietą.

Gdy z początku rabinowi zażądali świadectwa psychiatry, przywiózł w tym celu żonę do le karza Dalinikajtsa, lecz ten orzekł, że kobieta jest zdrowa na umyśle.

Po długich historyach, których opis tu po mijamy, kantor-rzeźnik uzyskał podpis 100 ra binów z rabinów z Końskich w gub. radom skiej na czele i na tej zasadzie wziął ślub z inną kobietą.

Rabini jednak inni z brzezińskim na czele znów oświadczyli, że rozwód jest nieważny, wobec czego pierwsza żona przebywająca obe cnie w Piotrkowie wytoczyła proces mężowi i tym co mu pomagali w udzielaniu rozwodu przynusowego.

Napady bandyckie.

Bandytyzm nie przestaje trapić nie tylko mie szkańców wsi i prowincji, ale nawet letników. Ze Zgierza donoszą, że na bawiącej tam na let nisku p. Rychter z Łodzi, napadło w lesie o go godzinie 3 po południu dwóch bandytów uzbro jonych i zażądało pieniędzy. O oprze niemogło być i mowy. Napadnięta musiała oddać zegarek, pierścionki i inne drobności wartościowe, przy czym jeszcze bandyci grozili jej obcięciem palców. Z Radomia donoszą: Dziesięciu bandytów, ele gantko ubranych, napadło na kantor zarządu dóbr i fakryk w Rzurowie, gub. radomskiej, własność p. Mokiejewskiego, znanego w Warszawie prze mysłowca. Bandyty napadli w godzinach przed wieczornych na kasyera fabryki, gdy wypłacał ro botnikom ich zarobki. Kasyer i otaczający go ro botnicy stawili opór i wywiązała się strzelanina. Na pomoc przybyła straż ziemska. Podczas strze laniny padł rażony kulą jeden z urzędników fa bryki, kilka osób raniono, a między nimi i stra żnika. Po stronię bandytów padł tylko jeden Ban dytym udało się zrabować pieniądze Zarządzone energiczny pościg.

Konfiskata dzieł orzeszkowej.

Moskiewski komitet do spraw prasowych skonfiskował książki Orzeszkowej: „Gloria vi ctis” i „Oni” — w przekładzie rosyjskim.

Nadesłane.

(Za dział ten Redakcja nie odpowiada).

Z bieżącej chwili.

Doczekaliśmy się wreszcie swojego przedsta wiciela do kongresu stanowego.

Jest nim powszechnie wychodźtwa naszemu w Paranie znany inżynier, p. Edmund S. Sa porski.

Rozszerzać się o przyniatach jeg. charakte ru uważam za zbyteczne, albowiem każdy z nas widzi w nim człowieka nieskazitelnej uczciwości. To nam zupełnie wystarcza i daje pewną re kojmię, że wszelki bezprawny z jakiegokolwiek bądź strony przeciw nam dokonany postęp ek, znajdzie w nim bezstronnego sędziego i słusznego obrońcę.

Trafniejszym wybór być nie mógł Od lat kilkudziesięciu, to jest od czasu, kie dy Stan Parane zaczęło wychodźtwa nasze za ludniać, jest to pierwsza chwila naszego polity cznego zwycięstwa; choć będąc w słowach szcze rzy, musimy z pokorą wyznać, że w tym po myślnym wyborze, dopisał nam fortunny ze stro ny rządowej powstały zbieg okoliczności, a któ ry na naszą pochwałę, z rządka na ten raz so lidarności ducha umiejętnie umieliśmy wyko rzystać. Powinien więc ten chwalebny przykład posłużyć za dalszą dla nas wszystkich naukę, że we wszelakich przedsięwzięciach przez nas spra wach, tylko jednością złączeni, pomysłnie je za latwiać możemy.

Posiadając rodaka przedstawicielem rządo wym zyskujemy na tym bardzo o bardzo wiele; jak w opinii obcych narodowości, które sobie, po prostu mówiąc, kpiły z bezmyślności naszej, że będąc najliczniejszym odłamem ludności w Paranie, dotychczas nie mogliśmy się zdobyć na własnego deputowanego; tak podobnie i zysku jemy we własnym przekonaniu, że w każdej słus nej sprawie mamy obronę swojego człowieka, na którego pomoc zawsze śmiało rachować możemy.

Witając zatem radośnie na stanowisku depu towanego p. E. Saporskiego, wieszając mu z da lego serca najpomyślniejszego z korzyścią dla nas wywiązania się z włożonego nań zaszczytne go, choć i ciężkiego obowiązku; tusząc niebez podstawnie sobie, że nadzieja nasza w Nim po kładana w żadnej okoliczności nigdy nas nie zawiedzie.

Niechajże więc z pożytkiem dla społeczeństwa naszego przewodzi nam ojciec kolonizacji pol skiej w Paranie, pierwszy przedstawiciel rządo wy, obywatel, E. Saporski.

Szczęść Mu Boże!!

Wyborca: **Hip. Skawiński.**
Vera Guarany 6/XI. 1911.

Od „Jockey-Klubu Parań skiego“

otrzymałmy następującą odezwę do hodo wców polskich:

—o—
Szanowny Panie!

Urządzając dnia 4, 5 i 6 grudnia wystawę inwentarza żywego według załączonego progra mu, liczymy na to, że i sz. Pan zechce się przy czynić do oświetlenia tego drugiego popisu ho dowli krajowej, przez wczesne zgłoszenie oka zów, tak własnego przychowku, jak i nabytych rozpladniaczy.

Z góry dziękując za poparcie naszych usiło wań pozostaję z szacunkiem

Karol Eiras 1-szy Sekretarz.

Program:

SEKCYA 1.

HODOWLA KONI.

Oddział 1. — Żrebce do 2 lat.

Nagrody: 200\$000 dla pierwszego, 100\$0 0 dla drugiego i srebrne medale dla 7-miu nastę pnych.

Oddział 2 — Klacze do 2 lat.

Nagrody: 200\$ dla pierwszej, 100\$, dla dru giej i srebrne medale dla 7-miu następnych.

Oddział 3 — Żrebce i klacze do 1 roku.

Nagrody: 150\$, pierwsza nagroda, 100\$ dru ga nagroda i srebrne medale dla 7-miu nastę pnych.

Oddział 4. — Konie jakiegokolwiek pocho dzenia do 2 lat (z wyjątkiem angielskich).

Serya 1.

Żrebce lub klacze wierzchowe:

Nagrody: 100\$, dla pierwszego, i srebrne medale dla 2-go, 3-go, 4-go i 5-go.

Serya 2.

Żrebce lub klacze zaprzęgowe:

Nagrody: 100\$, dla pierwszego i srebrne me dale dla 2-go, 3-go, 4-go i 5-go.

Oddział 5.

Właściciel prywatny, który wystawi najlepiej dobraną parę koni własnego chowu otrzyma w nagrodę cenny przedmiot roboty artystycznej.

Jeździec posiadający najlepszego wierzchowca własnego chowu otrzyma w nagrodę piękny wy rób brązowy.

Kto okaże najlepszy typ konia wojskowego (z dobrym klusem i cwałem) otrzyma cenny przedmiot brązowy przedstawiający scenę z hi storyi.

Oddział 6. — Konie do 3 lat.

Konie i klacze rasy czysto krajowej (pelludo).

Nagrody: Pierwszy otrzyma 100\$, drugi 50\$, 3-ci, 4-ty i 5-ty medale srebrne.

Oddział 7. — Konie i klacze od 2 do 4 lat.

Nagrody: Dla pierwszego 100\$, dla 2-go, 3-go, 4-go i 5-go medale srebrne.

SEKCYA 2.

BYDŁO ROGATE

Buchaje do 3 lat.

Oddział 1. — Rasa mleczna.

Nagrody: Pierwsza nagroda 100\$, druga 50\$.

Oddział 2. — Na rzeź.

Nagrody: Pierwsza nagroda 100\$, druga 50\$.

Jałowice do 3 lat.

Oddział 3. — Rasa mleczna.

Nagrody: Pierwsza nagroda 100\$, druga 50\$.

Oddział 4 — Na rzeź.

Nagrody: Pierwsza nagroda 100\$, druga 50\$. (W sekcji 2-giej oprócz nagród pieniężnych przy pada na każdy oddział 10 medaliów).

Z hodowców, którzy przedstawiają najlepsze stado krów, buchajów i jałowic otrzyma pierw szy 200\$ nagrody, a 2-gi i 3-ci medale srebrne

SEKCYA 3.

HODOWLA OWIEC I KOZ.

Oddział 1.

Za parę najlepszej rasy, 50\$000 nagrody.

Oddział 2.

Za przychowek najlepszej rasy, 20\$000 na grody.

SEKCYA 4.

HODOWLA ŚWIŃ.

Za najpiękniejszą sztukę 500\$. nagrody. Za parę najlepszej rasy 50\$. nagrody. (Oprócz tych nagród jest 5 medali srebrnych).

SEKCYA 5.

HODOWLA KUR.

Za parę najpiękniejszą i najlepszej rasy 50\$. nagrody. Za przychowek z najlepszego skrzyżo wania ras 20\$. nagrody. (Oprócz tego 10 me dalów srebrnych).

SEKCYA 6.

HODOWLA PSOW.

Za parę najlepszych i najpiękniejszych psów podwórzowych 1 medal złoty. Za najpiękniej szego psa owczarskiego 1 medal złoty. Za naj zdolniejszego psa policyjnego 1 medal złoty. (Oprócz tego 10 medaliów srebrnych).

KLASA SPECYALNA.

Rozpladniacze. — Nagroda zachęty.

Za najlepszego i najpiękniejszego ogiera ma jącego wszelkie dane do doskonałego p tomstwa zaprzęgowego lub wierzchowego 100\$ nagrody.

To samo odnosi się do klaczy.

Za buchaję rasowego obiecującego dobre po tomstwo tak mleczne jak i na rzeź 100\$000 na gody.

W tej klasie mogą się ubiegać o nagrody ogiery jakiegokolwiek rasy i pochodzenia byle by ły uznane bądź za wysięgowy, bądź za wiercho we lub zaprzęgowe (Oprócz nagród pieniężnych ma klasa ta 10 medaliów srebrnych.)

Za buchaje i krowy, tryki, knury, kozy i t.d. przeznaczają się jako pierwszą nagrodę medal złoty, jako drugą srebrny.

Właściciel najlepszej sprowadzonej z zagra nicy pary koni otrzyma piękny przedmiot bron zowy.

N. B Ta klasa nie podlega wpisowi.

Z wpisami należy się zwracać najpóźniej do 25 listopada do sekretarza klubu podając dokła dnie wszelkie deklaracje i oznaczając oddział, który się chce obślać.

Wpisowe do 1 i 2. oddziału wynosi 5\$00, do 3, i 4. 2\$00, a do 5, 6, 7, i 8 go 1\$00.

Wystawcom z prowincji wyrabia Klub na kolejach żelaznych zwizki od transportu zwie rzząt.

O nagrody pieniężne mogą się jedynie ubie gać konie pochodzące ze Stanu Parana.

Wszelkich potrzebnych informacji udziela Sekretarz Klubu.

Zwierzęta przeznaczone na wystawę muszą się znajdować najdalej do 2-go grudnia, godzin y 12, w południe w ogrodzeniu obok toru wysię gowego, pochodzące zaś z prowincji najdalej do 1 grudnia

Sekretarz **C. Eiras.**

Sprawozdanie zarządu „Związku N. P. w Brazylii.

I. sprawozdanie z działalności Zarządu.

Następującem opracowaniem, zarówno jak i dawniejszemi, chcemy spełnić naszą powinność względem społeczeństwa polskiego a mia nowicie względem członków Związku.

Czynimy to o tyle chętniej o ile przeciwni cy Związku usiłują podkopać był jego głoszą, bliski jego upadek.

Nie odpowiadaliśmy ani też nie odpowia damy wprost na tego rodzaju wymysły, ponieważ słusnie przypuszczamy, że nikt takowych na seryo nie bierze; a prócz tego sam fakt istnie nia Związku i jego rozwój będą najlepszą od powiedzią. Dziś tylko zaznaczamy, i to stano wczo, że Związek stoi na silnych nogach i że wcale jeszcze nie pocznł w sobie pierwiastków rozkładowych; owszem czuje jak w jego człon kach rusza się i pulsuje nowe życie.

Ze Związek nie upada, lecz przeciwnie wstę puje w nową fazę rozwoju i polegowania sił swoich, o tem daje świadectwo chociażby tylko to ogólne zainteresowanie się Związkiem i to przekonanie nawet najprostszego kolonisty, że taka organizacja jaką jest Związek, jest nam tu w Brazylii koniecznie potrzebna.

To samo zresztą powiadają nam nawet naj skrajniejsi nieprzyjaciele; tylko że oni chcą, aby istniejący Związek upadł i przez to im ustąpił miejsca do utworzenia nowego Związku.. Czemu? — Tą zagadkę pozostawiamy innym do rozwiązania w przekonaniu że łatwo każdy odgadnie jej tajemnicę

Czuając tedy pod nogami tak silny jeszcze fundament, Zarząd Związku czyni już wszelkie

przygotowania do nowego sejmiku: Wybrał już komisję która przyjmie projekta do zmiany lub ulepszenia statutów związkowych i tmsa mem prosi o nadsyłanie wszelkich życzeń i pro pozycji dotyczących Związku pod adresem: Za rząd Związku Narod. Pol. w Brazylii — Cury tyba — caixa postal Q. Tak same zajmuje się Zarząd obecnie postawieniem listy kandydatów do nowego zarządu. Listy te Zarząd będzie wy syłał w najbliższym czasie do poszczególnych Towarzystw, panów patronów grup i do poje dyńszych członków Związku. Jednym słowem Zarząd poczynia energiczne starania, aby nieda leki już sejm styczniowy był tem, czem być po winien t. j. najsilniejszym środkiem do osiągnięcia tych celów, dla których organizacja związkowa została założona; a prócz tego po tężną manifestacją budzącego się życia narodo wego w naszym społeczeństwie.

Prosimy więc poszczególne Towarzystwa Grupy i nieorganizowanych członków, aby za wczasu pomyśleli o wyborze i wystaniu delega tów na sejm do Kurytyby mający się odbyć w dniach 6 i 7 stycznia roku nast.

Resztę spraw związkowych tą razą potrąca my tylko w kilku zdaniach, nosząc się z zamię rem ogłoszenia więcej szczegółowego sprawozda nia o sprawach, które obecny Zarząd w czasie swe go urzędowania załatwił. Chcemy temsamem ja sno i zwięźle przedstawić ogólny rozwój i stan Związku, co zaś będzie podstawą i znacznem ułatwieniem korzystnego traktowania spraw na rodowych i związkowych na sejmie.

Wobec tego, co powyżej, wypada zazna czyć, że Zarząd w dalszym ciągu służy panom członkom Zw. jako i emigrantom, którzy pozo stają niejakiś czas w miejscowych barakach, za pomocą „Biura Pomocy Prawnej”. W nastę pnym numerze wykażemy kilku przykładami jak Zarząd w tej instytucji pracował i jakie ona korzyści daje.

Prawdziwym tryumfem usiłowań Zarządu można nazwać przeprowadzenie przy wyborach do Kongresu parańskiego własnego kandydata naszego rodaka i członka Związku pana Edmun da Saporskiego. Tu przynajmniej, każdy, kto jest dobrej woli może poznać znaczenie Zwią zku i korzyści które nam jeszcze dać może.

W sprawie budowy „Domu Polskiego” tą razą zaznaczamy tylko, że kupując te en pod budowę „Domu” liczyliśmy na poparcie rodaków dobrze myślących; jeżeli więc wro gowie „Związku”, którzy wszelkimi siłami stara ją się sparażować akcyę sprzedaży obligacyi znajdują postuch u naszego społeczeństwa, to u czynimy ich odpowiedzialnymi za to, że plac, któ ry dla Związku i dla podniesienia polskości z tak marnego położenia ma niepospolite zna czenie, przejdzie powrotnie w obce ręce. Albo wiem chyba nigdy więcej nie nadarzy się w Ku rytobie odpowiedniejszy i tańszy plac pod bu dowę „Domu Narodowego”. Dowodem na to może służyć fakt że już teraz nam dawają za nabytą dla Związku posiadłość 20.000\$00).

Niechaj więc tak przyjaciele jak i nieprzyjacie le Związku wyciągną ztąd odpowiednie konkluzje. Zarzucają nam jednak niektórzy, że pow niśmy się więcej zająć kwestyą szkolną. — Tym więc odpowiadamy: Czyż „Dom Nar. Polski” nie ma służyć przedewszystkiem także szkoi ctwu polskiemu w Brazylii, już dając dla szko ły odpowiednie lokale, już to odrzucając stałe dochody na szkołę? Wiadomo przecież każdemu jak wielkie suuyi trzeba by płacić miesięcznie za wynajęte lokale szkolne! Ci, którzy mają nam w tem względzie coś do zarzucenia niech by tylko sami przystąpili do Związku a kwe stya szkolna, która nam wszystkim na sercu leży prędzej by była rozwiązana aniżeli przez taką nieplodną krytykę. Prócz tego zapewniamy ludzi dobrej woli, że Zarząd czyni także inne starania w sprawie szkolnej. Nie pracujemy tylko z tak wielkiem rozgłosem jak to inni czynią

Na tem kończymy dziesięciszkie sprawozdanie z działalności Zarządu odpierając temsamem bezwzględna i ogólnie szkodząca krytykę po wnych koł naszego społeczeństwa. Bo chociaż dalecy jesteśmy uważać siebie za ludzi nie dosięgłych krytyką, to jednak niech nam będzie wolno wskazać na to, że pomiędzy krytyką a krytyką, niezmierną jest różnica, odpowiednio do tego, czy ona jest kierowana sympatją, czy też antypatją; życzliwością czy nienawiścią. Nie potępiamy krytykujących, którzy „kochając sądzą, a sądząc chcą podnieść”, lecz odrzucamy wszelką krytykę która chce nas zmiadzić i zohy dzić w oczach społeczeństwa. O tem niech pa miętają wrogowie nasi i Związku..

II. sprawozdanie kasowe.

Przychód z wkładów i wpisowego od 14-go września do 21-go października r. b. 87\$600

W kasie związkowej pozostawało 150\$100

Ob. onie znajduje się w kasie razem 237\$700

Rozchodu od czasu ostatniego sprawozdania nie było żadnego.

Prezes **Z. Majewski,**
Sektetarz **X. Drapiewski**

Dnia 8. Października b. r. zmarła tu Helena Grabus, czy Grybus, pochodząca z zaboru au stryackiego. Opuszcila ona jeszcze przed szesna stu laty Kurytybę i podobno zostawiła siostry i braci mieszkających w tamtejszej okolicy. Bliż szych szczegółów udzieli Michał Sobierajski, Colonia Sao Feliciano, Rio Grande do Sul.

Skazier obejmujący 5 akierów ziemi, odległy 8 kilomi. od Kurytyby, jest wraz z domem mieszkalnym, stodołą i inne mi zabudowaniami gospodarskimi na przystę pnych warunkach do wydzierżawienia. Bliż szych szczegółów udzieli się przy ulicy Rua Iguassu Nr. 108.

Wysprzedaż!

Z powodu zmiany lokalu wysprzedaję do końca roku wszelkie towary towarowe PO CENACH ZNACZNIE ZNIŻONYCH. Wiele materyi, które w większych ilościach znajdują się jeszcze na składzie, oddaję po CENIE KOSZTÓW.

Ignacy Kasprowicz,
róg ulic 15 de Novembro i Białuelo.

500

Alkrów doskonałej ziemi, z tego 400 alkrów lasu, rosów i kapuery, a 100 stepu na pastwiska,

w odległości 1 i pół godz. drogi kołowej od Castro a w bezpośrednim sąsiedztwie świeżo zakładającej się kolonii rządowej jest w całości lub częściowo po CENIE UMIARKOWANEJ do sprzedania.
Blizsze szczegóły u właściciela Pułkownika Felsbina G. P. Buena w Cast.o.

Kamieni młyńskich

parę o średnicy 75 cm., żytniaków zagranicznych, specjalnie do maki pytlowanej, ma do sprzedania

w Marechal Mallet **St. Miecznikowski.**

Skład Towarów Korzennych (Seccos e Molhados)

Fabryka Kawy „RIO BRANCO“
przy placu Zacharias Nr. 100.

Posiada zawsze na składzie mąkę pszenną, żytnią i kukurydzianą. Cukier, Ryż, Sól, Fiżon, Kukurydzę i t. p. produktów kolonialnych.

Wszelkie gatunki trunków, wyrobu krajowego i zagranicznego.

Wyśmienity gatunek kawy RIO BRANCO palonej i mielonej we własnej fabryce. Kupuje i sprzedaje wszelkie produkty rolnicze. jak kukurydzę, kartofle, fiżon i t. p. Sprzedaż hurtowna i detaliczna.

Michał Skrobot.

AKUSZERKA

z dyplomem Warszawskiego Instytutu Położniczego i długoletnią praktyką udziela porad i przyjmuje zamówienia.
Praca Tiradentes Nr. 47. — Telefon Nr. 356.
LUDWIKA GROSS.

Bezpłatnej porady lekarskiej

udziela dla

CHORYCH NIEZAMOŻNYCH

lekarz świeżo przybyły z Europy
od godz. 10 rano do 3 po południu, z
wyjątkiem niedziel

w „Apteczce Niemieckiej“.

Pharmacia Allema

Praca Tiradentes 1. 10-12.

Porady płatne także od godziny 4. do
6. wieczorem.

Baczność!!

Okazy, która się nieprędko powtórzy.

Kto potrzebuje artykułów dewocyjnych i materiałów piśmiennych, niech korzysta z nadarzającej się sposobności i niechaj spieszy do handlu CEZARA SZULCA, gdzie z powodu mającego nastąpić przebudowania domu urządza się wysprzedaż po bajecznie niskich cenach. Znajdzie tam w olbrzymim wyborze krzyże, kropielnice, różańce, szkaplerze, obrazy religijne, figury, lichtarze, świeczniki (pajaki kościelne), książki do nabożeństwa i wogóle wszystko co do tego działu należy.

Z materiałów piśmiennych i przyborów szkolnych poleca się kajety, ołówki, rączki od zwykłych do najwykwintniejszych, papiery i koperty listowe, książki szkolne, księgi handlowe, przybory dla inżynierów, papier do pakowania (po 700 rs. za kilo), szpagat, kałamarze, atramenty, wiązarki etc. etc.

Celem opróżnienia składu sprzedaję po SPECYALNIE NISKICH CENACH bibułki jedwabne, kolorowe i papiery do robienia kwiatów, liści i tulipanów.

Kupujcie więc póki zapas starczy, bo wysprzedaż będzie tylko trwała 3 do 4 miesiący.

Pozatem polecam moją wzorowo urządzonej drukarnię, introligatornię i fabrykę pieczętek kauczukowych.

Wszelkie zamówienia w moich zakładach wykonuje się dokładnie, gustownie, czysto, szybko i po możliwie niskich cenach.

Cesar Szulc

ul. Barao do Serro Azul 1, 12-14

CURITYBA, ESTADO DO PARANÁ.

SKŁAD KAPELUSZY „VENUS“

i Fabryka Parasoli



Stanisława Wojskiego

przy ul. 15 de Novembro Nr. 20.

Posiada zawsze na składzie duży wybór kapeluszy męskich i dzieciennych wszelkich fasonów. Parasole i parasolki jedwabne, satynowe i t. p. materyały. Sprzedaż obuwia męskiego, laski, koszule, krawaty, skarpetki, chustki i t. p. towary. Naprawia się parasole i odświeża kapelusze.

SPRZEDAŻ DETALICZNA I HURTOWNA. — Dla Pp. Kupców DUŻY RABAT.

Ceny bezkonkurencyjne.

Towary są sprowadzane z pierwszorządnych fabryk europejskich

STANISŁAW WOJSKI, rua 15 de Novembro Nr. 20.

Świeże Nasiona z Węgier, które w Paranie okazały się najlepszymi otrzymał Lu-

dwik Szezerbowski w Kurytybie ulica America Nr. 79. Znaczny zapas kapusty, sałaty, marchwi, buraków ćwikłowych, ogórków, pomidorów olbrzymich, brukwi, kalarepy i wiele innych. Dla pp. kupców duży rabat.

Adres dla listów: **Kurytyba Caixa Postal 77.**

Duży zapas bibułki do papierosów „Pobudka“ z Krakowa w pudełkach po 100 książeczek. Pudełko 83000.

Papierosy z ustnikami nieklejone z doborowych tytoni sprowadzanych z pierwszorządnych fabryk poleca Sz. Publiczności polska fabryka papierosów. Marki: Norton, Ideal, Curitybano, Luxo. Polskie Bim Bom.

Adres: **Ludwik Szezerbowski, Kurytyba Caixa Postal nr. 77.**

POPIERAJMY POLSKI PRZEMYSŁ I HANDEŁ!

„Formicida Schomaker“

niszczy niezawodnie mrowiska.

Uprzywilejowana przez Rząd Związkowy, stosowana z najlepszym skutkiem przez krajowe Towarzystwo Rolnicze w S. Paulo i wiele innych podobnych instytucji krajowych.

CURITYBA „Casa Salmon“ rua JOSE BONIFACIO Nr. 11.

Pracownia Kwiatów i Magazyn Kapeluszy Damskich, pod firmą

„Violetta“.

Praca Tiradentes Nr. 47.

Przyjmuje wszelkie zamówienia w zakresie kwiaciarstwa wchodzące.

Na dzień zaduszny poleca wieńce na groby od skromnych do najwykwintniejszych, po cenach możliwie tanich.

Formicida „Schomaker“

— najlepszy środek przeciw mrowkom —
otrzymała

„CASA SALMON“

— rua Jose Bonifacio Nr. 11. — Curityba.

